



## OSZAŁAMIAJĄCY ZAPACH ŚWIEŻEGO SIANA

## WSPOMNIENIA O STANISŁAWIE CZERNIKU SZKLANY BYK?



# ODGŁOSY

ROK XIX NR 46 (988)

14 LISTOPADA 1976 R.

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

### GOSPODARKA

KRZYSZTOF  
POGORZELEC

## BY NIE PRZEMIJAŁ Z WIATREM

NIC NIE ZDARZA SIĘ  
DWA RAZY. CZAS WYZNA-  
CZA RYTM, CHOĆ Z DRU-  
GIEJ STRONY — JAK PO-  
WIEDZIAŁ HEGEL —  
„NAWET NAJDOSKONAL-  
SZE ZEGARY NIE ZMIE-  
NIĄJĄ FAKTU, ŻE CZAS  
JEST NASZĄ WŁASNOŚCIĄ.  
TO MY RZĄDZIMY JEGO  
UPŁYWEM, TO OD NAS  
ZALEŻY ROZMIAR DZIEŁ  
JAKIMI GO WYPEŁNIMY.  
JEST TO ŻYWIÓŁ PODDA-  
NY NASZEJ WOLI, A WIĘC  
ZMIENNY, MIENIĄCY SIĘ  
BARWAMI JAK NASZA  
MYŚL”. SĄ TEŻ I TACY,  
KTÓRZY SĄDZĄ, ŻE CZAS  
JEST JEDNĄ Z NAJWIĘK-  
SZYCH WARTOŚCI, SZCZEGÓL-  
NIE W GOSPODARO-  
WANIU. STĄD CHYBA  
WYWODZI SIĘ ROZMAITE  
PORZEKADŁA, CHOĆBY:  
„CZAS — TO PIENIĄDZ”,  
„KTO SZYBKO DAJE —  
DWA RAZY DAJE”. JEŚLI  
WIĘC TAK, TO CZAS JEST  
TEŻ KATEGORIĄ EKONO-  
MICZNA. WŁAŚNIE — PO-  
ROZMAWIAJMY NA TEN  
TEMAT.

### RAPORT W SPRAWIE CZASU

Jest ku temu doskonała okazja.  
Leży przede mną kolejny, piąty w  
tym roku numer „Wiadomości Staty-  
stycznych”, a w nim niezwykle bogata  
w fakty publikacja Lucjana Adam-  
czyka zatytułowana sucho: „Wykorzy-  
stanie dobrego budżetu czasu”. W ta-  
ki to sposób dostaliśmy do rąk praw-  
dziwy raport o czasie: jak nim go-  
spodarujemy, wykorzystujemy — z  
pożytkiem lub stratą, choć — jeszcze  
raz wróć do Hegla: to od nas za-  
leży rozmiar dzieł jakimi  
go wypełniamy.  
Zacznijmy jednak od początku, czyli  
od faktów, a są one nadzwyczaj inte-  
resujące.  
Najpierw — PRACA, to znaczy ile  
czasu poświęcamy na zajęcia zawodo-  
we.

Dalszy ciąg na str. 3

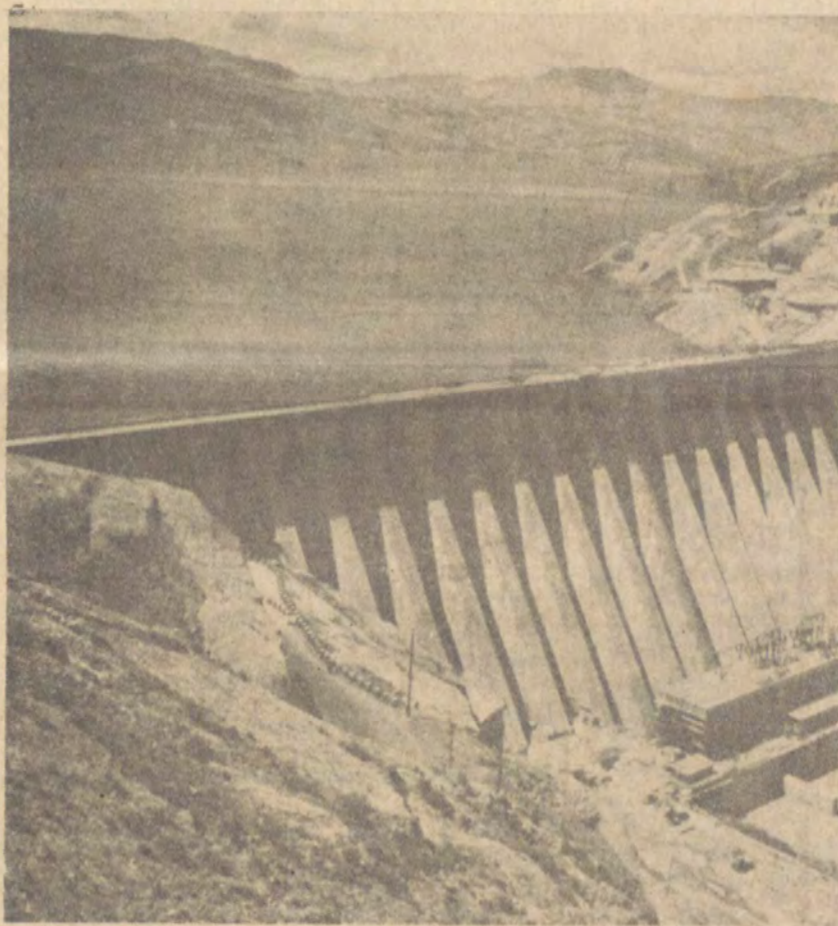
### REPORTAŻ ZAGRANICZNY

LUCJUSZ  
WŁODKOWSKI

## WODA I ZŁOTO

Z tarasu hotelu „Miami”,  
kiedy patrzy się na północ, na  
tle błękitnego nieba ostro od-  
cinają się góry Elbrus. Najle-  
piej widać je wczesnym rani-  
kiem. W południe góry Elbrus  
otula lekka mgielka. Ale i tak  
groźnie wyglądają na bez-  
chmurnym niebie. Ogromne —  
najwyższy ich szczyt, Dema-  
went ma 5 604 metry — pus-  
tynne, brunatnoczerwone, in-  
trygują i przerażają. Intrygują,  
bo człowiek chciałby to zoba-  
czyć z bliska przerażają, gdyż  
strach ogarnia człowieka, gdy  
pomyśli sobie, że mógłby sam  
znaleźć się na ogromnych  
bezludnych zboczach tych gór.

Dalszy ciąg na str. 8



MAREK MILLER

## SPOTKAŁEM SZCZĘŚLIWEGO SZWEDA

Zapytał mnie, jak dawno ostatni raz  
plakałem z miłości. My-  
ślałem, że kpi, ale twarz miał spokojną,  
skupioną, z oczekiwa-  
niem na odpowiedź w oczach. Wtedy ja o to samo zapytałem  
siebie. To, co się potem stało, pamiętam doskonale do dziś  
i ciągle do końca nie wiem, kim był ten dziwny i szalenie inte-  
resujący człowiek.

Zanim go poznałem, włóczyłem się przez miesiąc po kraju  
i przebyłem długą drogę.

### NA SZOSIE

Szosa E7 prowadząca ze Sztokhol-  
mu na południe. Stoimy już wiele go-  
dzin. Wystawiony do przodu keiuk nie  
sprawia na kierowców żadnego wra-  
żenia. Wpatruję się uporczywie w ich  
twarze: Ciągłe takie same, bezna-  
miętne, wpatrzone w nitkę asfaltu

przed sobą. Jesteśmy dla nich powie-  
trzem. Nie istniejemy. Żadnego gestu,  
ruchu ręką, lub choćby spojrzenia.  
Stojący obok mnie Grek opowiada o  
Sztokholmie. W tym mieście, jednym  
z najbogatszych na świecie, przez wie-  
le tygodni nie mogąc dostać pracy, u-  
trzymał się łowiąc ryby. Można ich  
było złapać w ciągu dnia około dwu-  
dziestu, co pozwalało przetrwać.

Dalszy ciąg na str. 9

### RELACJA

WALDEMAR  
UCHMAN

## ZBRODNIA PRZY ULICY BEDNARSKIEJ

20 września o godz. 13.55  
wracając z pracy lekarka za-  
stała w swym mieszkaniu przy  
ul. Bednarskiej 26 wstrząsają-  
cy widok. Po wejściu do kuch-  
ni zobaczyła leżącą na podło-  
dze swą 68-letnią gosposię,  
Marianę F. Stara kobieta  
była martwa. O tym, w jaki  
sposób poniosła śmierć,  
świadczył sznur zaciśnięty na  
szyi kobiety. Z pozycji, w ja-  
kiej leżała, można było wnio-  
sować, że nawet nie próbowa-  
ła się bronić. Najprawdopo-  
dobniej zamordowano ją znie-  
nacka.

Przerażona lekarka wbiegła  
do sypialni, gdzie, wychodząc  
do pracy, pozostawiła chorą  
matkę, przywiezioną dzień  
wcześniej do Łodzi po wypad-  
ku złamania nogi. Córka i jej  
mąż, także lekarz, sprowadzili  
matkę, aby otoczyć ją troskli-  
wą opieką. Niestety, zabójca  
nie oszczędził 76-letniej, cho-  
rej, Stanisławy S. Leżała mar-  
twa w sypialni, również udu-  
szona.

Dalszy ciąg na str. 13

### WYSPA

To miejsce, gdzie żył nazywało się  
Visingsö i było wyspą, wyspą na Je-  
ziorze o nazwie Wetter. Co pół go-  
dziny, z pobliskiej Gränny, można by-  
ło się tam dostać promem przewożącym  
turystów, ich samochody i zaopatrzenie  
dla wyspy. Ten skrawek łądy na wo-  
dzie tonął w zieleni sadów, modrze-  
wowych lasów i plantacji porzeczek.  
Zamieszkiwało go stu pięćdziesięciu  
farmerów, żyjących z uprawy warzyw  
i owoców. Życie płynęło tu spokojnie i  
dostatnio. Turyci kupowali swoje pa-  
miątki i wyjeżdżali. A kiedy ostatni  
z nich wsiadał na powracający prom,  
wyspa układała się do snu, w dom-  
kach zapalały się światła, a nad je-  
ziorem pierwsze gwiazdy.

## HIPOTEZY

# ODŻYWIENIE A RAK

Badania statystyczne prowadzone w wielu krajach świata wskazują, jak uważa wielu specjalistów, na wyraźną współzależność między rodzajem odżywiania i rozwojem niektórych form raka.

Artykuł na ten temat, zamieszczony w jednym z ostatnich numerów londyńskiego „Sunday Times”, wskazuje, iż w Anglii umiera obecnie na raka o pięć mieszkańców wyspy. Notuje się wysoki stopień zachorowań na raka gruczołu piersiowego i jelit (28.000 zgonów rocznie) oraz raka dróg oddechowych (33.000 zgonów rocznie). O ile raka dróg oddechowych lekarze nieomal całkowicie przypisują paleniu tytoniu, o tyle inne rodzaje raka, w większości, wyjaśniają specyfiką odżywiania. Teoria o zależności chorób raka od rodzaju odżywiania wynika z porównania dwóch rodzajów diety: amerykańskiej (europejskiej) i japońskiej, a następnie z badań specyfiki odżywiania niektórych grup religijnych w Północnej Ameryce i w Izraelu.

W Japonii obserwuje się najniższy w świecie stopień zachorowań na raka gruczołów piersiowych, a także stosunkowo niski stopień zachorowań na raka gruczołu krokowego i jajników.

Wszystkie te rodzaje raka, jak sądzą niektórzy uczeni, zależą od funkcji różnych hormonów. Do niedawna przypuszczano, że Japonczycy są od urodzenia uodpornieni na choroby raka. Jednakże później stwierdzono, że Japonki osiadłe w USA chorują na raka gruczołu piersiowego cztery razy częściej niż stale zamieszkałe w ojczyźnie. Japonczycy mieszkający w USA także częściej niż w Japonii zapadają na raka gruczołu krokowego i jelit.

Przypuszcza się, iż wzrost zachorowań na te rodzaje raka wywołują zmiany w odżywianiu (zmiana narodowej japońskiej kuchni — ryżu i ryby — na amerykańską, z dużą ilością mięsa i tłuszczu).

W Anglii obserwuje się bardzo wysoką zachorowalność na raka gruczołu piersiowego, na co umiera rocznie 13.000 kobiet. Zachorowalność na ten rodzaj raka jest także wysoka w krajach Zachodniej Europy, Australii, Nowej Zelandii, USA i Kanadzie (we wszystkich wymienionych krajach spożywa się dużo mięsa, tłuszczów i cukru) i o wiele niższa niż w krajach Południowoamerykańskiej Azji i Południowej Ameryki. Wyjątek stanowi Argentyna, gdzie spożywa się dużo mięsa, głównie wołowy, a mało cukru, co może być dowodem, iż jedna z podstawowych przyczyn raka gruczołu piersiowego jest nadmierne spożycie mięsa.

Przypuszcza się, iż odżywianie bogate w tłuszcze negatywnie wpływa na system wewnętrzny wydzielań, naruszając równowagę hormonalną. Stwierdzono, że u dziewczynak stale spożywających dużo mięsa i tłuszczów szybciej niż zazwyczaj rozpoczyna się menstruacja, a także wytwarza się większa ilość hormonów wzrostu. Kobiety cierpiące na otłuszczenie podlegają większemu niż inne ryzyku zachorowania na raka gruczołu piersiowego (szczególnie w starszej grupie wiekowej). Otłuszczenie zmienia skład hormonów i w konsekwencji następuje naruszenie równowagi hormonalnej, sprzyjające powstawaniu nowotworów złośliwych tego organu. Wszystko to świadczy o związku między odżywianiem i zachorowalnością na raka gruczołów piersiowych.

Potwierdzenie teorii o naruszeniu równowagi hormonalnej dają badania przeprowadzone na wyspie Jersey, gdzie od 1960 kobiet w przebiegu 24 godzin pobierano próbki moczu. Kiedy w konsekwencji u 27 spośród nich wykryto raka gruczołów piersiowych, okazało się, że już 9 lat przed wykryciem tej choroby rejestrowano we krwi tych kobiet niezwykle małą ilość hormonu męskiego (miewielkie ilości hormonu męskiego posiadają wszystkie kobiety). Opracowaniu prostej metody wyszukiwania kobiet, które podlegały zwiększonemu ryzyku zachorowania na raka gruczołu piersiowego, przysparza jednak trudności, związane z pomiarem bardzo małych ilości tych hormonów w próbkach moczu.

Rak jelit, od którego w Anglii umiera rocznie 16.000 mężczyzn i kobiet, także wiąże się z dużą zawartością tłuszczów w

pożywieniu. W krajach, w których notuje się dużą zachorowalność na raka gruczołu piersiowego oraz na choroby serca, notuje się także dużą zachorowalność na raka jelita grubego i odbytnicy.

W Szkocji, gdzie pożywienie obfituje w duże ilości tłuszczów i stosunkowo małą ilość owoców obserwuje się najwyższy w świecie procent zachorowań na raka jelita grubego. Choroba ta występuje bardzo często w krajach Zachodniej Europy i Ameryki Północnej, a także w Argentynie i Urugwaju, gdzie spożywa się dużo mięsa. W Chile i w Japonii występuje rzadko. I znów, tak jak w wypadku zachorowalności na raka gruczołu piersiowego, Japonczycy mieszkający w USA chorują na raka jelit częściej, niż Japonczycy zamieszkałi w Japonii.

W Kolumbii rak jelit i choroby serca są prawdziwym biczem bożym” zamożnych warstw społeczeństwa, które spożywa dziewięć razy więcej jajek i pięć razy więcej mięsa niż niezamożne warstwy ludności.

Fakt, że ludzie cierpiący zazwyczaj albo na choroby serca, albo na raka jelit, ale nie na te obie choroby jednocześnie, wyjaśnia się różnymi drogami asymilowania cholesterolu. U jednych ludzi dostaje się on z pożywieniem do krwi i odkłada w arteriach (arterioskleroza), a u innych jego większa część, nie wchłonięta przez krew, zostaje wydalona do jelit, wywołując tam rozwój złośliwych guzów. Przypuszcza się także, iż dieta bogata w tłuszcze wzmacnia wytwarzanie żółci, która pod wpływem bakterii przekształca się w jelitach w substancje wywołujące raka. Stwierdzono, iż ludzie, u których wydzielają się większe ilości substancji żółciowych, częściej chorują na raka jelit.

Dokonano interesujących obserwacji przy badaniu rodzaju pożywienia, obrazu życia i zachorowalności wśród niektórych grup religijnych w USA. Okazało się, iż dieta wegetariańska bez konsumpcji alkoholu, kawy i ostrych przypraw, a także powstrzymanie się od palenia tytoniu, wpływają hamująco na rozwój różnego rodzaju chorób rakowych, jak również chorób serca.

Badania, mające na celu określenie obronnego (anty-rakowego) działania jarzyn i owoców wykazały, iż owoce cytrusowe (pomarańcze i cytryny) sprzyjają wytwarzaniu przez organizm fermentów obronnych. Podobne działania mają rośliny motylkowe, salata, seler, kapusta, rzepa i wiele innych jarzyn i owoców. Jednakże efektywność obronnego działania jarzyn i owoców zależy od stopnia ich świeżości i właściwości gleby, na której rosną.

Rak żołądka także wiąże się z rodzajem odżywiania. Wysoka zachorowalność na tę chorobę w Japonii tłumaczy się częstym spożyciem solonej i wędzonej ryby, a także polerowanego ryżu (pozbawionego białka i witamin — red.). W krajach Zachodniej Europy i USA raka żołądka przypisuje się w większości spożyciu konserwowanych produktów mięsnych. Jednakże, jak wykazały ostatnie badania, niebezpieczne działanie tych produktów może się ujawnić przede wszystkim przy braku w pożywieniu witaminy C. W rejonach, gdzie notuje się dużą zachorowalność na raka żołądka, ludność zazwyczaj spożywa stosunkowo mało jarzyn i owoców. Za niebezpieczne uważa się także działanie niektórych barwników spożywczych i innych chemicznych środków dodawanych do produktów spożywczych.

Niezupełnie jasny pozostaje problem — czytamy w „Sunday Times” — związany z wpływem na zdrowie człowieka grubych włókien roślinnych, których źródłem jest zewnętrzna otoczka kultur ziarnistych. Spożycie niektórych z nich oczyszcza nych kultur zapobiega niektórym schorzeniom jelit, ale pytanie, czy zapobiega to rakowi jelit i chorobom serca (istnieje teoria, że włókna zatrzymują przenikanie cholesterolu do krwi) — pozostaje na razie bez odpowiedzi.

Tłum. J. C.

## TEATR

# POREBY OBRACHUNKI Z TERAŹNIEJSZOŚCIĄ

Osiem lat temu „Rzecz listopadowa” Ernesta Brylla przesłała przez wiele polskich scen. Jej głównym wówczas atutem była głęboka metafora poetycka realizowana na różne sposoby przez teatry, które szukały ekwiwalentu poetyckiego w substancji, nie tyle tekstu, co teatralnej.

Co przede wszystkim teatry skłaniało do takich poszukiwań? Związki z mickiewiczowską tradycją z „Weselem” i „Wyzwoleniem” Stanisława Wyspiańskiego. „Bryll przyniesł chęć ostatni element narodowej triady: po patosie romantyków i drwinie szyderców złączył je pragnie w syntezie”.

Odwoływanie się do Mickiewicza, Norwida, Wyspiańskiego, to nie tylko warstwa poezji lirycznej tkwiąca w verbum, ale... polska forma, wyrosła z „Lekcji XVI”, z teorii norwidowskiego dramatu, z wizji teatralnej Wyspiańskiego. Te formy polską Jan Błoński nazywa „panoramą” co można bliżej sprecyzować jako collage, układankę, kontrpunkt. Tak bowiem zbudowana jest „Rzecz listopadowa”. I to właśnie stało się motorem telewizyjnego spektaklu Bohdana Poreby. Czy jednak spektaklu? Otóż technika realizacji, montażu, podsyrony i przede wszystkim środki filmowe artystycznego wyrazu skłaniają raczej do spojrzenia na „Rzecz listopadową” Brylla—Poreby jako na filmowe widowisko telewizyjne. Zresztą wspomniana już polska forma: panorama, stanowi cechę i filmu, i telewizji. Zarówno jako struktury dynamicznej, jak i statycznej.

Technika collage'u układanki, kontrpunktu stała się u Bohdana Poreby atutem podstawowym, w którym szukał on nie tylko „Lirycznej mocy widowiska”, lecz także odwoływał się do tych treści, które uwypuklają wartości patriotyczne poezji Ernesta Brylla.

Dokonanie syntezy „narodowych źródeł techniki” z głębokim pojęciem patriotyzmem (każda z postaci reprezentuje jeden jakiś moment zbiorowej świadomości) stało się twórczą konstrukcją tego filmowego widowiska telewizyjnego. Bawiem zarówno filmowy obraz operujący polem semantycznym: Powązki, ulice Warszawy, Plac Teatralny z pomnikiem Nike oraz odnaturalniony świat warszawskiej „chaty” jak z „Wesela”, jak i cała bogata warstwa poezji słów i znaczeń dąży ku przeciwstawianiu poszczegół-

nych elementów collage'u nie zaś postaci i jednostkowych postaw. Wpłynęło to w zasadniczy sposób na wewnętrzną konstrukcję sekwencji i osób dramatu, precyzyjnie, marionetek „które — wypowiedziawszy swe kwestie — zapadają w ciemność”. Ale chociaż owe postaci rzeczywiście mają charakter marionetek ożywianych słowem autora, to jednak B. Poreba potrafił zróżnicować je i urzeczywistnić. Do postaci „organizatorów” świata pojęć reżyser włączył obok Pierwszego (Tadeusz Borowski) i Drugiego (Stanisław Niwiński) Obcego (Henryk Bak) i trzech Mężczyzn (Tadeusz Janczar, Stefan Śródka, Janusz Bylczyński) przedstawicieli pokolenia Bratnego i Czeski. Dostrzec tu można pewne nowum w stosunku do tekstu Ernesta Brylla i do inscenizacji z 1968 r. Otóż Pierwszy i Drugi, to nie bezimienni wyraziście słów poety, lecz reprezentanci współczesnych Polaków różnych środowisk.

Stąd B. Poreba każe pojawiać się im w różnych kostiumach. Jednocześnie pozostają oni w swej wewnętrznej strukturze reżonerzy i poetycko wszechwładcy. Podobnie owi trzej Mężczyźni nie „czyniżni i lek-komyślni”, lecz głęboko zastrachani w okrutną wojenną przeszłość, której tak dużo w Warszawie, w całej Polsce, gdzie ulice przepełnione są „snamii-koszmarami” o rzeczach milionowej wojny. Nie rozumie tego Obcy, mimo że swojski Anglik z Kolomyi („Trzeba pod tym niebem pomieszczyć trochę, przełamać się chlebem...”). B. Poreba nadał Obcomu znaczenie zwielokrotnione: krzywe zwierciadło, w którym można się przejrzeć powód do samorefleksji oraz kontrpunkt w technice ukazania panoramy społeczeństwa.

Na tym jednak nie koniec collage'owej techniki. Otóż pozostałe postaci-marionety stanowią obraz całej Polski, wszystkich Polaków, którzy przybyli na wesele, aby wziąć udział w narodowym misterium. Więcej tu jednak postawy romantyczno-patriotycznej niż sarkazmu i drwiny, bowiem miarą narodowej triady Ernesta Brylla była synteza romantycznej postawy i „drwiny szyderców” natomiast Bohdan Poreba romantyczny patriotyzm przeciwstawiał szyderczej drwinie.

Dlatego tak przejmująco rozbrzmiewa kreacja Jądrwi Andrzejewskiej (Matka), która zespoliła w tej roli całe bogactwo

tradycji literackiej teatralnej i jakże polskiej. Aktorka osiągnęła to prostymi, oszczędnymi środkami poprzez naturalizację postaci jako kontrpunkt w stosunku do poetyckiego świata wesela i zmetaforyzowanego świata obrazu filmowego: Powązki, ulice Warszawy, Plac Teatralny.

Dlatego tak dużo mówi się o czynach wzniośle-tragicznych.

Dlatego tak bardzo boli uszczepliwość Obcego, ironia Artysty (Igor Smiałowski).

Dlatego tak przejmująca jest postać Ojca (Józef Nowak), który u B. Poreby budzi sympatię, kiedy na weselu rozmawia ze zjawami, rozmawia z Dziennikarką ujawniając nieschematyczność człowieka na wysokim stanowisku. Nie chodziło tu Porebie i Nowakowi, aby postać Ojca była płaska, ale złożona i pełna ludzkich odczuć. Jak boleśnie wtedy zabrzmiały słowa: „syn plebejusza”, który „złąkł się nieznanego”.

Ta kontrpunktowa konstrukcja filmowego widowiska telewizyjnego B. Poreby posiada jeszcze jedną konsekwencję: możliwość interpretacyjną obrazem przeciwstawnym do słowa, które często w polu semantycznym obrazu filmowego uzyskuje inne zgoła znaczenie. Tak właśnie został pomyślany epilog. Padają gorzkie słowa o „mieście grobowcu”, gdzie święto wybudowano domy z „gotyckiej cegły”. Obraz pokazuje rzeczywistość zgoła inną: szerokie ulice, Trasa Łazienkowska, Wisłostrada — oto ile dokonałmy, a były przecież lata, o których pamiętają kanały: „Niech pan zważy, sądził ile tu krwi, a ile śliny i stęchlizny ile tu bełkotania, gegania, że bliźni, że trzeba dla ojczyzny...”

A ile miłczenia, z którym Warszawa szła do boju swego”.

Pisał kiedyś Jan Błoński o obrachunkach Brylla z Polską, po filmowym widowisku telewizyjnym Bohdana Poreby można mówić o obrachunkach reżysera z teraźniejszością o obrachunkach z telewizyjnym ekranem, gdzie kameralność została zastąpiona rozmachem obrazu nie tracąc nic z owej intymności, o której radzieckiej teoretyk telewizji W. Sappak pisał, że jest to „zaktywizowanie się widza wobec człowieka z ekranu”.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

\* Teatr telewizji 1.XI.1976 r.

## INFORMACJE

### MATURALNI LAUREACI

W konkursie rozpisany przez Towarzystwo Przyjaciół Łodzi na tematy związane z naszym miastem wzięło udział kilkudziesięciu uczniów szkół średnich. Jury przyznało trzy nagrody i kilka wyróżnień.

Pierwszą nagrodę zdobyła Karolina Kozłowska, uczennica Liceum Zawodowego na Księżym Młynie za pracę pt. „Województwo miejskie Łódzkie w świetle nowego podziału administracyjnego”. Drugą nagrodę otrzymał Marcin Kasprzak z Technikum Mechanicznego im. T. Duracza za pracę nt. „Rozwój terytorialny i demograficzny Łodzi w latach 1332 — 1939”. Trzecią nagrodę przyznano Markowi Hillińskiemu z Technikum Chemicznego przy ul. Tamki 12, autorowi pracy pt. „Osiągnięcia społeczno-gospodarcze w XXX-leciu PRL w oparciu o przykład jednego zakładu produkcyjnego aglomeracji łódzkiej”.

### DNI SZKOŁY FILMOWEJ

Studenci Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej zorganizowali w dniach 8—13 listopada — dni szkoły. W ich ramach przewidziany jest przegląd cennocnego dorobku uczeni. Odbywają się więc projekcje filmów kandydujących do nagrody im. A. Munka, ufundowanej przez Szkołę, przegląd etiud studentów wydziału operatorskiego oraz filmów biorących udział w konkursie Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, związanych tematycznie z naszym miastem lub zrealizowanych przy wykorzystaniu plenerów Łodzi.

Dzisiaj w Szkole na ul. Targowej odbędzie się Forum Telewizyjne, a jutro (w piątek) dominować ma tematyka teatralna. W imprezach zapowiedziano swój udział wielu twórców filmowych, aktorów, scenarzystów i krytyków. Na wszystkie imprezy wstęp wolny.

### POLSKA KSIĄŻKA W PRADZE

Z okazji 50 rocznicy Rewolucji Październikowej w Ośrodku Polskiej Kultury i Informacji w Pradze otwarto wystawę polskiej książki i plakatu o tematyce społeczno-politycznej.

Pod hasłem „Kierunek — rozwinięte społeczeństwo socjalistyczne” ekspozycja pokazuje wybrane pozycje z bogatego dorobku największych polskich wydawnictw, z „Książką i Wiedzą” na czele oraz wydawnictwem MON. Całość wystawy podzielona tematycznie prezentuje m. in. dzieła klasyków marksizmu-leninizmu, książki poświęcone socjalistycznej integracji ekonomicznej krajów RWPG oraz liczne publikacje o 30-letnim dorobku w budowie socjalizmu w naszym kraju.

### DZIEŁA LENINA W ŁODZI

W Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w naszym mieście otwarto wystawę dzieł Włodzimierza Lenina wydanych w języku polskim do 1939 r. Wśród nich znajdują się m. in. książki i broszury z okresu międzywojennego. Do ciekawszych pozycji należy zaliczyć pierwsze wydanie „Państwa i rewolucji”. Za kilka tygodni wystawa ta pokazana będzie w Moskwie.

### K. POGORZELEC REDAKTorem NACELNYM „EXPRESSU ILUSTROWANEGO”

W dniu 6 bm. w obecności prezesa Zarządu Głównego RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Stanisława Mojkwoskiego oraz sekretarza KŁ PZPR — Zbigniewa Falińskiego obowiązków redaktora naczelnego „Expressu Ilustrowanego” powierzono Krzysztofowi Pogorzalecowi, dotychczasowemu zastępcy redaktora naczelnego „Głosu Robotniczego”.

# TEATR Z ANGLII WYSTĄPI W ŁODZI

Teatr Nowy w Łodzi rozpoczyna wielki, trwający do końca listopada br., przegląd swojego dorobku, mający uświetnić 27 rocznicę działalności tej zasłużonej sceny. Entuzjastycznie oklaskiwany podczas występów gościnnych we Wrocławiu, Kaliszu, Warszawie oraz ostatnio w Krakowie — Teatr Nowy przypomni na obydwoj swoich scenach przedstawienia, które zapewniły mu miejsce wśród najświetniejszych teatrów naszego kraju.

Wielki przegląd rozpoczyna najnowsza premiera teatru „PATNA” Josepha Conrada (reż. K. Dejmeck, scen. H. Poulain), będąca sceniczną adaptacją i części „Lorda Jima” z Józefem Duriaszem w roli głównej, „EGZAMIN” Jana Pawła Gawlika (reż. W. Pilariski, scen. Z. Strzelecki) obok farsy Haliny Dobrowolskiej „AWARIA” (reż. K. Dejmeck, scen. M. Tomasiak) są spektaklami, które mówią wprost o naszej rzeczywistości wzbudziły ogromne zainteresowanie publiczności.

I najgłośniejsze przedstawienie KAZIMIERZA DEJMKA: „GARBUS” Sławomira Mrożka (6, 7 i 26.XI.) oraz legendarna już, mająca swoje miejsce w historii teatru polska prapremiera „OPERETKI” Witolda Gombrowicza (13, 14 i 25.XI.)

Po dłuższej przerwie, spowodowanej przedłużającym się remontem, otworzy swoje podwoje MAŁA SALA TEATRU NOWEGO. W niedzielę, 31 bm. o godz. 20.00 odbędzie się w niej premiera sztuki Stanisława Ignacego Witkiewicza „JAN MACIEJ KAROL WSZCIEKLICA” w reżyserii WOJCIECHA PILARSKIEGO i scenografii IWONY ZABOROWSKIEJ. Obok ZBIGNIEWA JOZEFOWICZA, grającego rolę tytułową, wystąpią: HANNA BEDRYŃSKA, DAGMAR FONIOK, TERESA MAKARSKA, IRENA SZEWCZYKÓWNA, BOLESŁAW BOŁKOWSKI, JANUSZ KUBICKI, ANDRZEJ MAY, WOJCIECH PILARSKI, JAN RUDNIECKI, JAN ZDROJEWSKI, ZYGMUNT ZINTEL.

Mała Sala TN wznawia również teatralne wieczory poetycko-filozoficzne, których premierę odbyły się w sezonach poprzednich. „OBRONA SOKRATESA” Platona (reż. K. Dejmeck, scen. H. Poulain) z Sewerynem Butrymem w roli tytułowej, nagrodzona na tegorocznych Kaliskich Spotkaniach Teatralnych i „PAMIĘTNIK INTYMNY” Jana Lechonia (oprac. scen. Z. Józefowicz, scen. I. Zaborowska) — zakończą przegląd, stwarzający możliwość przypomnienia, bądź uzupełnienia znajomości wszystkich najciekawszych propo-

ycji Teatru Nowego, kierowanego przez KAZIMIERZA DEJMKA.

Kończymy informacją, która powiększy i tak już znaczne zainteresowanie teatrem przy ul. Wigockiego 15. Jako drugi w tym sezonie — po krakowskim Teatrze im. J. Słowackiego — wystąpi gościnnie NATIONAL THEATRE WORKSHOP z Anglii, który przedstawi 18.XI. „Makbeta” W. Shakespeara, a 19.XI. „DAWNE CZASY” Harolda Pintera.

Przedstawienie „Makbeta” — jak mówi twórca obu spektakli prof. JOHN RUSSEL BROWN — ma charakter warsztatowy, mający dać nowe spojrzenie na wystawienie tej klasycznej tragedii w teatrze. „Dawne czasy” są kameralną, współczesną sztuką Harolda Pintera, którego „Dozorcy” przed laty grano w Łodzi.

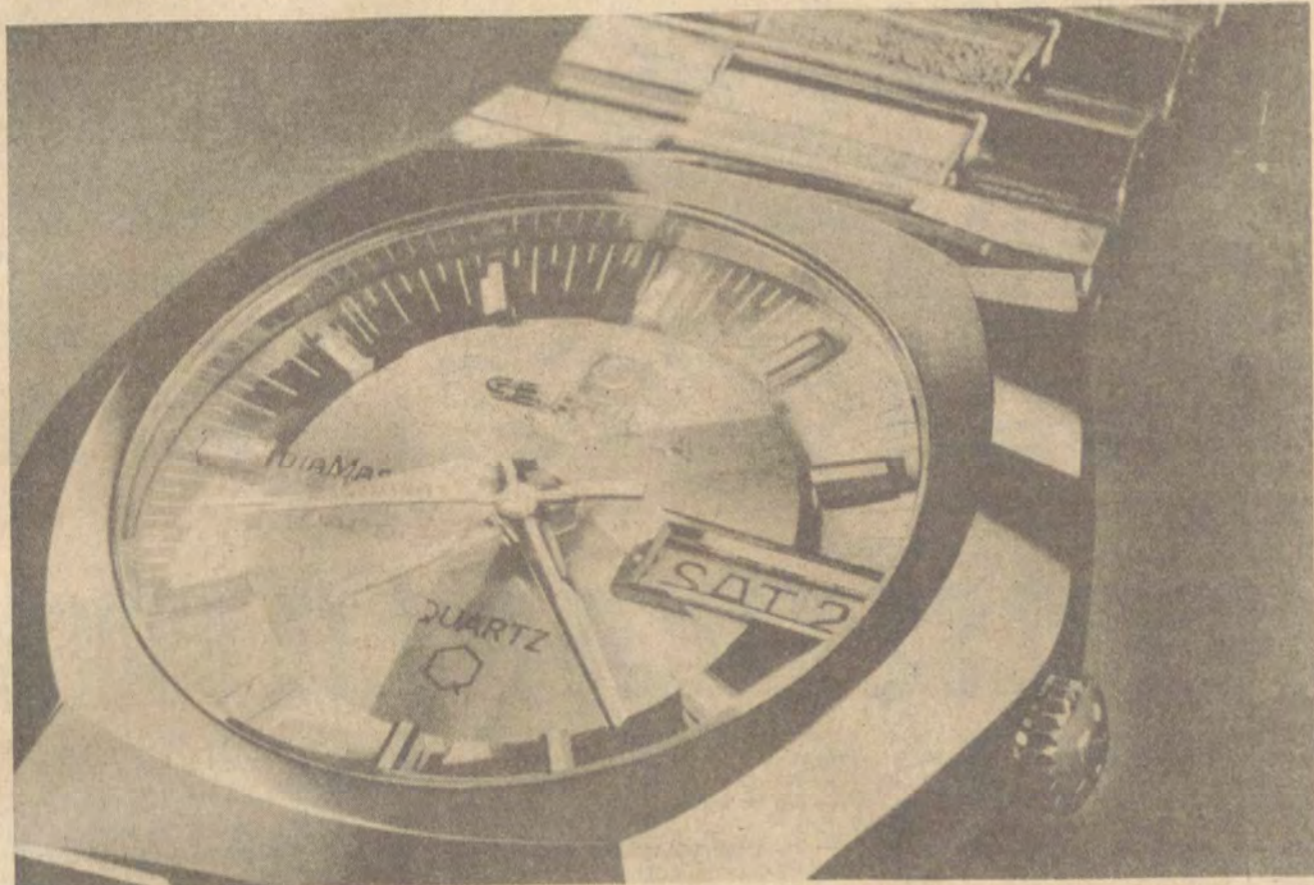
Bilety na wszystkie listopadowe przedstawienia Teatru Nowego sprzedaje od piątku kasa Teatru Nowego, tel. 219—58 w godz. 10.00 — 19.15 bez przerwy.

JAN MILEWSKI

## ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

# BY NIE PRZEMIAJAŁ Z WIATREM



Fot.: Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

Dokładnie, na pracę wykonywaną poza rolnictwem przeznaczamy obecnie — to znaczy w latach 1975 i 1976 bo do tego okresu odnoszą się badania — 7 godzin i 21 minut. Ten wynik obliczeń może się wydać komuś zadziwiający, jako że wiadomo, iż obowiązująca nas ogólnie „dniówka” to 8 godzin spędzanych przy warsztacie. Należy jednak dodać, że w badaniach Głównego Urzędu Statystycznego przyjęto za podstawę 7 dniowy tydzień, co oczywiście faktycznie zmienia istniejący stan rzeczy. Jeśli się bowiem weźmie pod uwagę dni robocze, to

razie pytania cisnące się pod pióro, choćby takie jak: czy wykazane godzinny faktycznie przepracowano? Dojdziemy jeszcze do tego, a na razie w charakterze informacji wyjaśniam, że tak zaprezentowane rezultaty badań mówią w gruncie rzeczy tylko o ilości czasu spędzanego w miejscu pracy. To dość istotna różnica.

Tyle w charakterze ogólnego przedstawienia zjawiska pod tytułem „nasz czas powszedni i jego podział.” Nie sądzę jednak, by na tym można było poprzestać.

## CO W ŚRODKU „PISZCZY”?

Z faktów zgromadzonych przez L. Adamczuka i opublikowanych na łamach „Wiadomości Statystycznych” można odczytać bardzo wiele niezmiernie ciekawych rzeczy, które tylko zewnętrznemu, choć się powiedzieć pozornie nie składają się na budżet czasu przeciętnego Polaka środka lat siedemdziesiątych. Na kilka z nich chciałbym zwrócić uwagę Czytelników, a będą mi one potrzebne również w dalszej części tej publikacji.

Otóż — po pierwsze, niektóre z rezultatów badań przeprowadzonych przez Główny Urząd Statystyczny wydają mi się zaskakujące, boję się bowiem, nie mam do tego prawa, nazwać je nieprawdopodobnymi. Weźmy dla przykładu strukturę budżetu czasu rolnika. Wynika z niej, że właśnie ta grupa zawodowa... najdłużej śpi, 8 godz. 12 min. na dobę, gdy robotnicy przemysłowi 7 godz. i 30 min. Klóci się to jakoś z obiegowymi opiniami, w myśl których rolnik od świtu do nocy itd. itd. Nie mniejsze zdziwienie musi wywołać wydłużenie czasu pochłanianego na różne czynności domowe — sprzątanie, pranie, gotowanie, z 2 godz. 40 min. — tak to wyglądało w roku 1969, do ponad 3 godzin w roku ubiegłym. Nie pasuje mi to jakoś z ogólną tendencją do wzbogacania gospodarstw domowych w rozmaity sprzęt techniczny... Są jeszcze inne stwierdzenia wynikające pośrednio, ale w oczywisty sposób z materiału zgromadzonego przez GUS. Zaliczam do nich m. in.:

- **dobowy czas pracy** — znowu przeliczany na pełny 7 dniowy tydzień — bardzo rozmaicie kształtuje się w różnych grupach zawodowych. Jeśli chodzi o robotników przemysłowych to wynosi on 7 godz. 44 min. pracowników administracyjnych — 7 godz. 27 min., a u rolników — uwaga, to zaskakujące — równe 6 godz.;
- **dojazdy do pracy** pochłaniają średnio biorąc 57 minut co w porównaniu do roku 1969 — oznacza wzrost o 4 minuty;
- **robotnicy zakładów przemysłowych** śpią na dobę 7 i pół godziny, pracownicy administracji 7 godz. 45 min. natomiast rolnicy — 8 godz. 12 min.;
- **dokonywanie zakupów** pochłania obecnie — przeciętnie — 63 minuty;
- **zajęcia domowe**, takie np. jak sprzątanie, gotowanie itp. to następne 3 godziny;
- **nastąpił wzrost wolnego czasu** od pracy przypadającego na statystycznego Polaka — do 4 godz. 5 min.

wychodzi, że przeciętna dniówka, to jest 8 godzin i 40 minut. No, ale trzymajmy się metodologii obliczeń zastosowanej przez GUS, a także odłóżmy na

transportu, komunikacji, w grę wchodzi także takie zjawisko, jak wydłużenie się „promienia” dojazdu — sięganie po zasoby siły roboczej z odleglejszych miejscowości w stosunku do zakładu przemysłowego czy też placu budowy, to już oczywiście wymowę mają następujące fakty:

- **przeciętny interesant** traci na załatwienie jakiejś sprawy w urzędzie — średnio 72 minuty. Powtarzam: **przeciętnie...**
- **Okazuje się**, że i tutaj sytuacja jest zróżnicowana. Tak więc dla przykładu robotnik przemysłowy traci na wizytę w przychodni zdrowia 104 minuty, rolnik — 132 minuty, a pracownik administracji — 91 minut.
- **Na załatwienie jakiejś sprawy** w urzędzie rolnik zużywa średnio 1 godz. 30 minut, na wykonanie jakiejś usługi 1 godz. 44 minuty.

Bez obawy o popelnienie większego błędu w interpretacji tego zjawiska, można chyba zaryzykować taką opinię że jest to czas z marnowany, często — jeśli nie z reguły szczególnie w przypadku pracowników administracyjnych oraz robotników pomniejszających czas nominalnie przeznaczony na pracę.

W tym właśnie dostrzegamy jeden z najistotniejszych problemów społecznych i gospodarczych naszego życia, daleko wylęgający poza skutki materialne.

## PRZEZ PRYZMAT GOSPODARKI

Odbiegłem w tym miejscu od publikacji L. Adamczuka, a to po to, by zaprezentować całe to interesujące nas zjawisko w jeszcze innym wymiarze.

Najpierw stwierdzenie: czas ma oczywiście swoją wymierną wartość.

Można ją naturalnie rozmaicie obliczać, oceniać — choćby przez pryzmat ilości godzin i minut jakimi dysponujemy dla wypoczynku, poprzez rezultaty pracy, no i przez jego bezproduktywne przemijanie.

Liczyby mają tutaj wymowę jednoznaczna, a pozwolę sobie przytoczyć je znowu, posilkując się „Trybuną Ludu”. Otóż w roku ubiegłym przeciętny robotnik zatrudniony w przemyśle społecznym pracował o 72 godziny krócej, aniżeli miało to miejsce w roku 1974. Podejrzewam jednak że ta sucha liczba nie przemawia, nie ma odpowiedniej nośności i stąd też może warto przedstawić nieco inny jeszcze rachunek. A więc te 72 godziny to nie innego, jak praca krótsza — w wymiarze rocznym — o pełnych 9 dniówek nie licząc oczywiście świąt czy też urlopu. I znowu — z tych 72 godzin, 48 jest rezultatem konsekwentnego wcielania socjalnego programu partii (stopniowego skracania nominalnego czasu pracy), przyjętym jako nadrzędna zasada na VI Zjeździe PZPR. No dobrze, ale pozostaje jeszcze niebagatelna „reszta” — 24 godziny co z nimi?

W tym przysłowiowy sęk.

Chcąc być w zgodzie z obiektywną prawdą wypada mi w tym miejscu zauważyć, że mimo wielu trudności różnorodnej natury, udało nam się zmniejszyć czas przestoju produkcyjnych, wynikających choćby z wadliwej organizacji pracy o średnio 7 godzin, znowu licząc na jednego zatrudnionego w sferze produkcji przemysłu społecznego, co znaczy nic innego jak to, że zarobiliśmy całą jedną dniówkę, to znaczy tak, jakby cały przemysł pracował o jedną dniówkę w roku więcej, a przecież było inaczej, przecież przybywało nam wolnych sobót. Nie zamuszamy jednak problemu, to nie przymykamy wstydliwie oczu i na to, że na każdego robotnika grupy przemysłowej wypadło także 5 godzin nie przepracowanych i to bez najmniejszego uzasadnienia.

Gdybyśmy te liczby potrafili „prześiać”, gdybyśmy potrafili określić, ile spośród 20 godzin przypadających na każdego robotnika, a składających się ze zwolnień chorobowych — ma swoje uzasadnienie w stanie zdrowia, a ile z chęci wygospodarowania dodatkowego wolnego czasu za „frajera”. Gdybyśmy...

Nie chodzi jednak teraz o takie „gdybanie”. Pora — i to najwyższa — zastosować skuteczne lekarstwo na ten rodzaj społecznego schorzenia, bez czego trudno będzie nam pokonać następne bariery rozwoju, przyspieszenia gospodarczego, zamożności i dostępu materialnego.

No, ale padło tutaj słowo lekarstwo — trzeba więc być konsekwentnym, przy czym chciałbym dodać, że odnoszę to pojęcie nie tylko do tej grupy zatrudnionych w naszej gospodarce, którą statystycy klasyfikują jako „robotników przemysłowych”. Ależ nie! Czas ma swoją wymierną wartość wszędzie i da się bardzo precyzyjnie wycisnąć z złotych, gdy np. chodzi o praktyczne „wdrozenie” do przemysłu zakupionej za ciężkie dewizy licencji. Potrzebujemy na to ciągle 4—5 lat, a w poszczególnych przypadkach i ten okres jest za krótki.

Tyle może i kosztuje czas. Jeśli dziś tak wiele mówimy i czynimy dla możliwie najszybszego, najpełniejszego pokonania trudności, które wystąpiły w naszym życiu ekonomicznym, to — prócz decyzji doraźnych, poczyniń jednostkowych, powinniśmy chyba zwrócić uwagę na udoskonalenie mechanizmów decydujących o efektywnym gospodarowaniu, a za jeden z nich, chyba nie bez podstaw uznaję należyte wykorzystanie czasu.

## WSPOLNY MIANOWNIK

Wydaje się, że sygnalizowany tutaj problem, niepełne, niewłaściwe wykorzystanie czasu, ma pewien wspólny mianownik, a nazywa się on organizacja.

Niestety, nie jest tajemnicą, że w tej dziedzinie w bardzo wielu przypadkach jesteśmy bardzo słabi, w dodatku sama dyscyplina, wiedza i praktyka stosowania właściwych rozwiązań organizacyjnych nie jest w dostatecznym stopniu doceniana, respektowana. Czasami zresztą, nie potrafimy przewyższyć narosłych latami tradycyjnych metod, bądź też nie dozwieramy rozwiązaniom nowoczesnym. Nie bez powodu „Życie Gospodarcze” pisało w jednym ze swoich wydań: „Czasami chodzi o sprawy najprostsze. W jednym z kluczowych zakładów, dysponujących własną stacją maszyn liczących, fabryczna ewidencja kosztów dokonywana jest dwoma sposobami. Równoległe.

Pierwszy sposób, z zastosowaniem najnowocześniejszej techniki: na dokumenty wyjściowe nanoszone są odpowiednie symbole, umożliwiające przełożenie zawartych w nich informacji na języki komputera, specjalnie przeszkolone maszynistki wszystko to wpisują na taśmy perforowane, resztę pracy wykonuje maszyna.

W tym samym czasie w innym pomieszczeniu tego samego fabrycznego biurowca sztab rzeczywiście bardzo zapracowanych urzędników tych samych obliczeń dokonuje sposobem tradycyjnym: ołówki, liczydło, kręciółki. Po co?”

A przecież:

„Specjaliści szacują, że gdyby konkretnie — w warunkach roku 1974 udział postępu organizacyjnego we wzroście wydajności pracy w naszym przemyśle był tej skali, jaką notowano w ostatnich latach w przemyśle innych krajów, wartość produkcji czystej przypadającej na 1 zatrudnionego wynosiłaby nie 145 tys. złotych, a blisko 200 tys. złotych — byłaby o przeszło 1/3 wyższa. Nakłady na wzrost technicznego uzbrojenia pracy — przystość majątku trwałego w przemyśle — wyniosły w latach 1971—1975 prawie 1,4 biliona zł, były niemal dwukrotnie większe niż w pięcioletciu poprzednim, wzrost wartości majątku trwałego sięgał ponad 60 proc. Nie ma już tak dokładnych statystyk — nie jest to zresztą łatwe do ewidencyjnego ujęcia — dotyczących wzrostu nakładów na postęp organizacyjny. W każdym razie były one wielokrotnie mniejsze. Tymczasem, jak wykazują badania przeprowadzone w ZSRR, 1 rubel zainwestowany w technikę przynosi w danym roku 31 kopiejek efektów ekonomicznych, gdy ten sam rubel zainwestowany w postęp organizacyjny przynosi 1,6 rubla efektów ekonomicznych.

Jeśli więc tak agiutnie nie boję się użyć tego słowa — swoich ewentualnych Czytelników za tym, by wraz ze mną szerzej spojrzeć na zjawisko lekceważenia wartości czasu w skali daleko szerszej, aniżeli wynikałoby z liczb i wskaźników statystycznych, to czynię to z myślą zasłania pewnego konstruktywnego niepokoju, ale i także przeforsowania i ugruntowania opinii, że to, co w tej dziedzinie warto i trzeba zrobić, nie jest mierzaniem sił na zamiary. Może nawet całkiem odwrotnie?

KRZYSZTOF POGORZELEC

# TALIZMANY

Srebrne serduszko, pogubione listy  
stara zapalniczka, zapomniane imię  
parę biletów, szmaciana maskotka  
i ośnieżone, białe wnętrza lasu.

Kolorowe pocztówki, szare umieszczenie  
stempel w paszporcie, bilet tramwajowy  
kalendarz i zegarek z nieważną gwarancją  
bo i tak niewiele pozostało czasu.

Talizmany podróżne — oto co zostanie  
kiedy się dopełni twoje zaspianie

Pozostaniesz w przedmiotach  
śmiertelnych jak pamięć

# WALIZKI PANA IONESCO

Przeraża się i dziwi  
Walizki u stóp

Zaraz się pochyli i uchwyci w dłonie  
te same lęki i minione lata  
poczucie winy i ciężar istnienia

Bagaż pana Ionesco  
A może nasz wspólny

Więc ruszajmy w drogę  
z walizką wypełnioną  
jak puszką Pandory

A za nami dym  
a nad nami kurz

# PYTANIA

Skąd wziąć ten las  
bo świt nadejdzie sam  
Skąd wtędy wziąć odwagę  
by jeszcze biec choć chwilę

Lecz kiedy czas — to czas  
dni jak gałęzie — nagie

Wstrzymuję krok  
mam jeszcze drogi milę  
ale przez las przez las

A potem świtu sztylet

Więc świt i las  
i wiem że się nie mylę

# SENNIE

Kiedy jedziesz przez miasto  
w przerażeniu sennym  
otwierasz drzwi taksówki  
jak wrota do snu

Kiedy stukasz w drzwi szklane  
za którymi sennie  
niosą tace blaszane  
zmęczone kobiety

Kiedy mówisz dzień dobry  
choć nocy połowa  
lub uciekasz chyłkiem  
z wesołego gwaru

Czego szuka, gdzie biegnie  
twoje przerażenie  
jaki blask cię oślepi  
jakie wchłoną cienie

— Kończy się mój majowy urlop —  
pomyślał inżynier Wojsa — powin-  
nem pojechać do brata na wieś. Rzad-  
ko tam bywam, rodzina mnie nie od-  
wiedza i nie pisze do mnie.

„Jest w tym i twoja wina. Ciąży  
na tobie ten obowiązek inspiracji,  
pierwszego kroku. Oni tam pracują,  
obiewają pola i sadzą ziemniaki, nie  
mają czasu by usiąść w czysty domu  
i napisać do ciebie list. O czym zresz-  
tą mają pisać? Kim ty dla nich jesteś?  
Nazwał się kiedyś człowiekiem w  
podróży. Nie miałeś stałego miejsca  
życia i pracy. I takim dla nich jeszcze  
pozostałeś. Czy mogą więc tobie po-  
wierać swoje myśli, wyznawać uczu-  
cia? Nie pytają cię o nic. Wyszedłeś  
stamtąd — pamiętasz — słoneczną  
szczyliną drogi, którą już dzisiaj za-  
rosły nowe drzewa, zatarł się na tej  
drodziej twój ślad.”

— Tylko dwa dni pozostało z urlo-  
pu, pojedź — zdecydował się inżynier  
Wojsa. — Zdażę powrócić na czas.

„Jedziesz autobusem, inżynierze, tą  
drogą, którą przez wiele lat przemie-  
rzałeś pieszo. Jest to twoja droga do  
miasta. Zmieniła się, stała się równa  
i powabna, nie trzęsą się na niej wozy,  
nie pryskają spod kół ostre, tłuczone  
kamienie. Zalane asfaltem, może cię  
wspominają, inżynierze, jak chodziłeś  
tędy, ścieżką przy rowie, czy śródkiem  
szosy, do dziennej trochę i potem wie-  
czorowej szkoły, do kina i na spotka-  
nia z dziewczyną, która pracuje na  
poczcie i czeka od ciebie na list ostat-  
ni. Gdyby policzyć kilometry, które  
przeszedłeś tą drogą, to można by na-

I oto brat wyszedł mu na spotkanie  
i za nim postępowala wciąż uśmiech-  
nięta jego żona. Przywitali się bez  
żadnej wylewności, po prostu oszczęd-  
nie i serdecznie.

— Nie odwiedzasz nas — powie-  
dział brat na wstępie. — I co słychać  
u ciebie?

— Jak widzisz, żyje się. Cóż więcej?  
— Bez kobiety? — zapytała z na-  
jężonym uśmiechem bratowa.

— Ano bez... Jeszcze jestem wolny.  
Chłopcy rozbiegli się po podwórzu,  
zadowoleni z przybycia wuja. Inżynier  
usiadł na ławie przed domem. Brat  
wyniósł z szopy okrągły, pleciony z  
wikliny stolik, na którym pojawiło się  
za chwilę sporo pożywienia: placek,  
chleb i jajka, herbata i butelka wina  
z żyta.

„Do tego wina z żyta — przynaj-  
mniej inżynierze — miałeś już, jakby tu  
powiedzieć, artystyczną słabość w  
młodości. To jeszcze twoja matka co  
roku w jesieni stawiała na szafie po-  
tężny balon wypełniony wodą i żytem,  
w którym rozpoczynał się proces fer-  
mentacji. I pojawiał się twój niepo-  
kój: kiedy usoił się działanie tych  
przetworczych sil i zielony, jak paź-  
dziernikowa w słońcu ozimina, plyn  
winny popłynął do szklanej gości z  
miasta, co często nawiedzali wasz dom,  
i gdy tobie dałają tego zielonego na-  
poju posmakować. Jego chłód i chle-  
bny zapach osiadł głęboko w pamięci  
twojego podniebienia. Albo placek z  
kruszonkami. Albo dynia na słodko.  
Tymi przysmakami też nie gardziłeś.  
Teraz jesteś człowiekiem z drogi i gład

a tym, co chciałeś już posiadać, a co  
kazało na siebie długo czekać w nie-  
pokoju. Miasto, z którego wypadłeś na  
wieś, przyjmowało cię znów wiosenną  
radością. Nie spostrzegłeś, kiedy słońce  
zaszło za mury i nastala noc. Nie mia-  
łeś czasu wracać do domu — trawa-  
je zjechały do zajezdni, pustoszały uli-  
ce. Byłeś głodny. Kupiłeś pół bochen-  
ka chleba. Skierowałeś się do kamie-  
nicy przy centralnej ulicy miasta,  
gdzie dawniej przez jeden rok szkolny  
u rodziny mieszkales na stacji. Świat-  
ła wygasły w oknach. Nie chciałeś bu-  
dzić wujostwa, Mieszkał na trzecim  
piętrze, na które wchodziło się bar-  
dzo stromymi drewnianymi schodami.  
Wszedłeś aż na podest, z którego moż-  
na było dostać się na strych — i tu  
zasnąłeś po suchej kolacji, nasycony  
chlebem, zmęczony dnem młodej czer-  
wieni. Sen na deskach miałeś twar-  
dy, bojowy — zaczęłaś mocno chrapać.  
Chrapanie usłyszał sąsiad wuja. Otwo-  
rzył drzwi i z latarką elektryczną w  
ręku wszedł na strych, zaświecił ci w  
oczy, obudził i zaczął legitymować.  
Powolałeś się na rodzinne stosunki z  
jego sąsiadem z naprzeciwka. Nie do-  
wierzal ci, zadzwonił do wuja, który  
przyszedł cię i położył do łóżka. W  
wielkim mieście, na podestcie, pod da-  
chem starej kamienicy zbudowano cię  
ze snu, z którego rozchodziły się drogi  
w przyszłość. Jedną z nich poszedłeś  
dalej...”

— Zasnij inżynierze. Odpocznij w  
domu rodzinnym — powtarza. — Jutro  
pójdziesz do szkoły.  
Inżynier myśli o dniu jutrzejszym.

FELIKS RAJCZAK

# PRZEJDŹ SIĘ JESZCZE RAZ TĄ DROGĄ

...pisać, że zaszedłeś bardzo daleko. Kto  
wie, czy na tej drodze nie obszedłeś  
całej naszej ziemi.

Wysiadłeś z pociągu w tym twoim  
pierwszym mieście bez nazwy. Jak  
sięgasz pamięcią, zawsze nieistotna  
była nazwa tego miasta, wszyscy we  
wsi mówili — idą do miasta, wracają  
z miasta. I tylko z tego miasta. Te-  
raz mieszkasz stąd daleko, w Starym  
Mieście na odzyskanej ziemi. W takim  
mieście czujesz się jak ptak, który o-  
siadł z misją budowania gniazda dla  
nowych pokoleń. I tę misję spełniasz,  
choć jesteś samotny i nie tęsknisz  
do dziecka. Z tego twojego pierwszego  
miasta już nie idziesz pieszo do wsi  
twoich rodziców i brata, jedziesz au-  
tobusem i patrzysz: ten licealista, któ-  
ry rozmawia z dziewczyną, blondynka  
nakrapiana piegami, jakże on jest po-  
dobny do Zdzisława Siudy, z którym  
siedziałeś przez wiele lat w tej samej  
ławie swojej leśnej szkoły podstawo-  
wej. Widzisz, już ma takiego dużego  
syna. I cieszy cię to, i przyjaźnie się  
do niego uśmiechasz.

A za oknem autobusu mignęły już  
Petrykozy, w Górze na przystanku  
wysiadło wielu pasażerów, twoich  
dawnych znajomych, którzy ledwie cię  
poznają. Zbliża się twój przystanek.  
W tamtym czasie twoja przystań,  
z której wyruszyłeś w świat. Wsya-  
daj inżynierze Wojsa. To tu.”

— No tak, to tu — inżynier rozej-  
rzył się wokół. Powoli i z trudem wy-  
prostował blachę z napisem wsi, umo-  
cowną do betonowego słupa stoją-  
cego obok przystanku. Wieś widział  
od tyłu. Pola zastodolne zieleńły się  
wyką z lubinami i żytem, do których  
dostawiono stadka krów.

Kilkanaście kroków przeszedł asfaltowa  
szosa i skręcił w ulicę wsi. U jej wylotu  
leżał obaloną dęb z korzeniami, może stu  
lat nie doczekał, ale zastawiał widok na  
ruchliwą szosę i musiał zejść z oczu ludo-  
kich. Popatrzył, jak wielką rolę odgry-  
wały drzewa w krajobrazie. Po drugiej  
stronie ulicy, nieco dalej, dwa potężne de-  
by i dwie postawione wysokie wierzby szu-  
miały w swej młodości nad zmieniającymi  
tutaj swe stanowiska wojskami pierwszej  
wojny, która na okolicznych polach wry-  
ła się do brzozy w pamięć tej podlódzkiej  
ziemi. — Tak, to tu — inżynier powtarza  
się i dostrzega na tej drodze — opodal  
pobliskiego ptiu — dwóch chłopców i za-  
trzymuje się: Czy to on i brat? Czy ci  
chłopcy powtarzają ich bezwiednie? To  
przecież za tym plotem jest jego rodzinny  
dom. Chłopcy patrzą w stronę domu, w  
okno, w którym stoi ich mama i wola  
ojca;

— Idźcie powitać wuja. Przyjechał  
wuj Kazimierz.

— Jak się macie chłopcy. Nie pozna-  
jecie mnie? No, dzień dobry — witał  
się inżynier Kazimierz Wojsa ze swymi  
bratankami. — Macie od wuja po-  
czekaładzie. Tata w domu?

— Tak — odpowiedzieli jeszcze nie-  
śmiało. Matka ich, uśmiechnięta i róż-  
nowłutka, stała w oknie i przyglądała  
się scenie powitania. Chłopcy wpro-  
wadził wuj w podwórze. Inżynier  
przekroczył furtkę i zajrzał do stud-  
ni: nie zakryta, kamienna, z milcząc-  
ym chłodnym lustrem wody odbiła  
jego twarz, tę samą, która lat temu  
kilka codziennie nachylała się nad nią,  
ofiarowującą mu pełne wiadra napoju  
dla domu i obory. Oto jego studnia  
przeszłości. Są w niej krople niejed-  
nego pięknego wspomnienia. Przy-  
pominał sobie, jak po pewnej nocy  
czerwcowej, pogodnej i wonnej, po-  
wrócił nad ranem do domu i sięgnął  
do studni po wodę, której się napił  
do syta i w której obmył się z pyłu  
gwiazdzistej eskapady. Gdzież te lata?

odczuwasz na pewno. Nie skap sobie,  
inżynierze.”

— No jedź, Kaziu — mówi brat.  
— Co u was dobrego? — pyta in-  
żynier.

— Po staremu. Roboty dużo — od-  
powiada brat.

— A we wsi?

— Jak zawsze: ludzie rodzą się i od-  
chodzą. Stary Banat już umarł. Nie  
żyje Trzeszczak, Maciaszek.

— A teraz znów mam kłopot z naj-  
starszym, Grzesiem. We wrześniu  
szesć lat i powinien iść do szkoły.

— Co ty powiesz już? Od szczęściu  
lat?

— A tak, do zerówki.

— I co za kłopot?

— Jest zameldowany w mieście.  
Jak matka pracowała w fabryce, mia-  
ła dzieci przy sobie. Teraz nie pracuje,  
ale się nie wymeldowała z miasta,  
jeszcze się namyśla, czy nie powrócić  
do roboty. Może coś poradzić.

— Grzesiu pójźcie do szkoły w Por-  
szewicach?

— Chcemy go tam posłać.

— To go tam zapisz.

— A kiedy jest zameldowany w  
mieście. Gdybyś ty to załatwił. Ty  
zawsze się szybciej dogadasz. Mnie  
nieporęcznie.

— To się jutro zobaczy.

„Widzisz, inżynierze, ten las. Sprzed  
twojego rodzinnego domu oglądaś go, jak  
na dloni. Urosł, spotęniał. Drzewa stojące  
na przedpolach lasu zastąpiły twoją szkołę.  
Jeszcze parę lat nazad dostarzałeś się ja  
stad doskonale. Las zastąpił już pozostałe  
wille, w których po wojnie znalazły swój  
dom dzieci bezdomne, sieroty. Zbudowali  
je w tym porzewickim lesie łódzcy fa-  
brykanci, którzy spędzali tutaj letnie mie-  
siące. Jeszcze się je odnawia, chociaż czas  
prze w nie nieublagante, pokrywa wilgo-  
ci i próchnu się nie sprzeciwia. Gdy po-  
wróciłeś z rodzicami i bratem z niewoli  
niemieckiej, po pierwszych wakacjach w  
odrodzonym kraju, we wrześniu poszedłeś  
do pierwszej klasy do tej właśnie szkoły  
na skraju lasu. I tu rosteś i nabierałeś sił.

Nie zapomniałeś chyba swojej pierwszej  
drogi do szkoły? Dostałeś zeszyt i ołówek  
od matki i z kolega, o którym mówiłeś,  
ruszyliście do szkoły. Przeżywałeś ten mo-  
ment z niepokolem, jak wszystko co ro-  
nie i wchodził w nowe fazy rozwoju. I te-  
raz musisz się uśmiechnąć. Szliście w po-  
łudnie do szkoły, na dwunastą. Ze szkoły  
wracał już starszy rocznik. Jak tabun u-  
skich jabłoni i zbliżał się do szosy. Prze-  
straszliście się tej rozchukanej czeredy  
starych, jeszcze nie znanych, kolegów.  
Postąpiłście, niestety, brzydko. Po prostu  
stchoryliście. Pod mostek z drewny, prze-  
rzynony przez rów przy szosie, schowa-  
liście swoje zeszyty i ołówki. Czegoż się  
baliście? Ze wam zabiora, że zniszcza wa-  
sze przybory szkolne. Tak było. I w tym  
był jakiś nieklamany lek przed stratą naj-  
cenniejszych rzeczy, wymiesiony łaźe z  
wojny? Wzbacz, że o tym przywomniałem.  
Ileż takich dramatycznych i komicznych  
chwil wiade się z twoją drogą do szkoły?  
A warto chociażby powiedzieć o twojej  
śniętej drodze...”

Chodziliście wtedy — w pierwszych la-  
tach po wojnie — ty, twoje koleżanki i ko-  
ledzy, w trepach. Śnieg przywierał do  
drewnianych podszew. Bywało, że szliście  
jak na szczytach. Rośliście w górę i opa-  
daliście w dół — a za wami zostawały  
ślady: grudy odlepięnoze od trepów śniegu.  
Chodziliście do szkoły przez sad. Już go  
nazwałes sadem rajskich jabłoni. Dojrze-  
wały tu czerwone rajske jabłka i innych  
rodzajów. W sadzie był dom ogrodnika.  
Ogrodnik miał psa i stado owiec. Stado  
przewodził baran. Wybiegał często na wa-  
szą drogę i gonił was aż do samej szkoły.  
Raz nawet wleciał za wami po schodach  
na korytarz, nie pomnę czy wpadł do kla-  
sy. Przejdź się jeszcze raz tą drogą, in-  
żynierze.”

„Masz za sobą inżynierze, szmat cza-  
su. Utkany jest z nici tysiąca i jednej  
chwil. Oto ta nić, po której wracasz  
w przeszłość. Był maj, święto wiosny  
i pracy. Byłeś wówczas przewlekłym  
rekonwalescentem, leczyleś się z po-  
wikłanych marzeń. Byłeś między tym,  
co było nieosiągalne dla ciebie wtedy,

Będzie to niedziela, dzień tygodnia, w  
którym nie załatwia się spraw urzę-  
dowych. Więc on nie z urzędu pójźcie  
do swojej szkoły, ale jak uczeń, ab-  
solwent porozmawiać ze starymi nau-  
czycielami. Niewiele może, to prawda.  
Ale chociaż wykorzysta swe możliwo-  
ści do cna, wypowie się w imieniu bra-  
ta i jego syna. To wymaga trochę  
śmiałości.

I inżynier zasypia.

Śni mu się pośpiech. Wokół slychać  
pęd (to tak blisko popędu) — zatacza  
łuk pędzący pociąg. W promieniu tego  
łuku stoi z ojcem. Chce zdążyć na ten  
pociąg, gdzieś ma odjeżdżać, chce się  
pożegnać z rodziną. Idzie w kierunku  
pociągu. Ale coś go odciąża, odpycha.  
Pokonuje zgeszczone powietrze. Upa-  
da, jakby do kolan światła. Człoga się  
do okna domu, od strony niedzyskiej-  
skiej łąki, na której pasł krowy. Tym  
oknem zaglądał do izby, gdy się ste-  
sknił za jej ciepłem; tym oknem po-  
dawano mu kromkę chleba z masłem  
na podwieczorek (krowy pasal po pu-  
łudniu, po powrocie ze szkoły). Już  
jest blisko tego okna. Idzie na kolan-  
nach. Okno otwiera brat. Nieznacznie  
uśmiecha się i wylewa na niego kubek  
wody. Inżynier budzi się.

Jest spocony. Dusznno pod dachem,  
nagrzanym w dzień słońcem. Postana-  
wia zejść z góry na podwórze, wyjść  
na drogę, popatrzeć w niebo. Ma takie  
przyzwyczajenie nabyte w młodości:  
światł nocy ucisza mu serce, uspokaja  
myśl.

Wychodził drzwiami domu otwartymi  
na północ.

Odwraca się i wychodzi furtką na  
drogę pustą o tej porze. Jest przy dro-  
dze, pod plotem, laweczka — jedna  
deska na dwóch kółkach wbitych w  
ziemię, wśród krzewów bzu. Inżynier  
siada i zapala papierosa.

„Powiedz inżynierze: gdybyś mógł! Jesz-  
cze raz wyjść po raz pierwszy z za-  
grody na drogę, czy wybrałbyś i na a  
drogę? I czy ty, inżynierze, naprawdę wy-  
bierałes swoją drogę? Do pierwszej po-  
droży tą drogą idącą przez wieś zniewolo-  
no cię z twymi rodzicami. Ta droga wy-  
wiodła cię z domu i ojczyzny. Po tylu la-  
tach tamte dni przywołujesz z rozprome-  
nia, pamięć wnosi na światło obecnej do-  
by tylko jakieś fragmenty faktów, zbli-  
żenia twarzy, urwki pogody i nastroju.

Schodzisz niemal na samo dno swego ży-  
cia. Jest szary świt okupacyjnej zimy. Pu-  
kanie do okna twojej rodzinnej chaty. Od-  
bierasz je trwożliwie. Niedobre przeczu-  
cie. Ojciec z matką zrywa się na nogi. Z  
podwórza, zza ściany domu dobiegają roz-  
mowy Niemców. Ojciec otwiera drzwi do  
sieni. — Józef — słysz — ubierał się,  
pakuj co masz w chałupie, będziesz wy-  
siedlony z rodziny. Za dwie godziny po-  
jedzie wóz i zabierze was stad”. Jedziecie  
furtą do miasta. Toboły z pierwszą, chle-  
bem, najpotrzebniejszymi rzeczami. Matka,  
ojciec, młodszy brat, dziadek i ty. I ty,  
inżynierze nie zapomniadles o tym. Tak ci  
zszedł dzień i tak ci schodzi noc. Daleko  
byłeś...”

Inżynier nad ranem powrócił na  
górze i zasnął od razu. Spał prawie  
do południa. Nie budzono go, aby się  
wyspał dobrze i odpoczął sobie. Po  
obiedzie poszedł z bratem i Grzesiem  
do szkoły. Dyrektor z białej topoli  
zdejmował rój pszczoł. Bardzo się u-  
cieszył, że dawni uczniowie go odwie-  
dzili.

— To taka prosta sprawa — powie-  
dział.

Inżynier odjechał przed wieczorem.  
Po paru tygodniach otrzymał nieocze-  
kiewanie list od brata, w którym mu  
pisał, że pomyślnie załatwił sprawę —  
Grzesia wymeldował z miasta, bo  
jedno dziecko ojciec może mieć przy  
sobie. Więc Grzesz będzie mógł pójść  
do zerówki, do tej szkoły w lesie.

JERZY WILMAŃSKI — WIERZSE



Fot.: Archiwum

## LITERATURA I PISARZ ZA ODRA

Z RUDIM STRAHLEM rozmawia KONRAD FREJDLICH

**KONRAD FREJDLICH:** Panie Strahl, chociaż Niemiecka Republika Demokratyczna jest młodym państwem, posiada już bardzo bogate tradycje teatralne. Weźmy choćby pod uwagę pisarstwo Bertolta Brechta i działalność Berliner Ensemble. Wspomnijmy też Petera Hacksa. Czym więc jest dzisiaj teatr NRD?

**RUDI STRAHL:** Nie bardzo wypadłoby mi odmówić, ale nie bardzo mi też wypada wypowiadać się na tak szeroki temat. Spróbujmy jednak, skoro pan nalega. Przede wszystkim więc teatr nasz wiele szuka w ostatnich latach. Stara się znaleźć możliwe różnorodne tytuły sztuk, nie tylko pod kątem pragmatycznym. Cechują go poszukiwania w dziedzinie sztuki teatru, stara się zarazem poruszać problemy dnia. Czyni przy tym wiele porównań, nawet porównań ekonomicznych, nie zapominając oczywiście o sprawach i konfliktach ludzkich. Mniej jest może u nas tego, co bardzo ceni sobie polski teatr i co jest w nim tak piękne: wielkiej fantazji, fantazji inscenizacyjnej i interpretacyjnej, pewnej spontaniczności. Nasze sceny reprezentują przede wszystkim teatr problemów, starają się stawiać pytania nurtujące każdego człowieka w naszym kraju.

**K. F.:** Pójdźmy jeszcze dalej. A jak Pan ocenia sytuację społeczną literatury w Waszym kraju, jakie są jej obowiązki? Jak Pan pojmuje własne obowiązki jako pisarz?

**R. S.:** Znowu strasznie szeroko i nie wiem, czy w związku z tym dostatecznie zrozumiałem to pytanie. Czy interesuje pana społeczna sytuacja literatury czy też miejsce pisarza w społeczeństwie?

**K. F.:** Myślę, że jedno i drugie.

**R. S.:** A więc dobrze. Zaczęło się od tego, że w naszym kraju ma miejsce swoisty fenomen, ponieważ ludzie czytają nieprawdopodobnie wiele. Nie wiem, jak to wykazuje statystyka, ale książki rochodzą się bardzo szybko. I można chyba mówić o przelomie, jaki dokonał się w upowszechnieniu naszej kultury. Wiąże się to z dalszą częścią pańskiego pytania, przejdźmy więc od razu do rzeczy.

Otóż przed dwudziestu laty ludzie pracy w naszym kraju poszukiwali przede wszystkim klasyki. Obecnie mamy do czynienia ze zmianą sytuacji, daje się bowiem zaobserwować ogromne zapotrzebowanie społeczne na literaturę współczesną, mówiącą o naszych czasach. Niektórzy uważają nawet, że jest to po prostu zmiana upodobań czytelniczych. Ale można też interpretować tę sytuację inaczej. Nasza literatura, odchodząc od blachostek, rezygnując z przedstawiania spraw mało istotnych, nie straciła swych więzi z czytelnikiem, jest dla niego zrozumiała. Może dlatego, że sięga po realia rzeczywistości, docieka prawdy. Dogmaty przeżywa się szybko. Literatura musi poszukiwać wyrazu dla tego, co określa ludzkie zadowolenie i szczęście, rozwój ludzkości.

Jakie będą więc, wracając do pytania, obowiązki literatury w ogóle, bo chyba nie tylko u nas? Myślę, że powinna wyrażać prawdę poznania, prawdę rzeczy. I poszukując jej nie może zbaczać z drogi społecznego postępu. Przynajmniej ja tak pojmuję swoje pisarskie zadania.

**K. F.:** Korzystając z tego, że gości Pan w Polsce, nie mam kłopotu ze sformulowaniem kolejnego pytania. Panie Strahl, jakie są Pańskie kontakty z naszym krajem?

**R. S.:** Moje związki z Polską są bardzo silne. Nawet osobiste. Zaczęło się od tego, że po wojnie, kiedy byłem dzieckiem, przez dwa lata mieszkałem w naszym kraju. Od tamtej pory mój stosunek do Polski jest może nawet egoistyczny i serdeczny, bo zachowałem w pamięci smak waszych narodowych potraw i zawsze tutaj z przyjemnością przyjeżdżam. A ponieważ dzisiaj Berlin odległy jest ledwie godzinę drogi od polskiej granicy, bywam za Odrą do dwudziestu razy w ciągu roku. Dla przyjemności i służbowo. Często odwiedzam przyjaciół, przyjeżdżam zobaczyć sztuki innych autorów a nawet własne.

Miałem okazję niejedną raz zachwycić się u was dramatami Różewicza i Mroźka, których wymieniam tu tylko przykładowo, gdyż zawsze interesuje mnie, co grywa się w polskich teatrach. Nawet przed kilkoma dniami byłem w Warszawie na sztuce Różewicza, bo jego twórczość ogromnie mnie fascynuje.

Przynam także, że lubię w Polsce spotykać się z ludźmi, chętnie nawiązuję u was znajomości. Trudno przy tej okazji nie wspomnieć mi o Romanie Szydlowskim, który jako pierwszy tłumaczył moje sztuki i łączy nas osobista przyjaźń. W czasie poprzednich wakacji za granicą poznałem także Adama Hanuszkiewicza. Każde lato staje się, po prostu, okazją do spotkań i przemysień. Zresztą nie tylko okres letni, gdyż jak mówię, zawsze chętnie przyjeżdżam do Polski.

**K. F.:** Czy w tych wędrowkach nie omija Pan Łodzi?

**R. S.:** W Łodzi jestem po raz drugi w przeciągu tygodnia, uczestniczyłem tu bowiem wraz z oficjalną delegacją w Dekadzie Teatru NRD i byłem na sztuce mego przyjaciela Petera Hacksa. Dziś przebywam tu po raz wtóry, na premierze mojej sztuki. Sądzę, że nie będzie to ostatnia wizyta w Waszym mieście, gdzie spotkało mnie tak serdeczne przyjęcie.

Chciałbym z zadowoleniem podkreślić duży wkład twórczy zespołu Teatru Ziemi Łódzkiej i jego dyrektora w wystawieniu mojej komedii.

**K. F.:** Jest Pan dziś autorem trzydziestu książek i sztuk scenicznych wywawianych w teatrach wielu krajów, zarówno na Wschodzie jak i na Zachodzie. A przecież zadebiutował Pan stosunkowo niedawno, bo w roku 1961. Musi Pan wiele pracować. Pozwoli więc Pan, że zapytam o Pańskie plany twórcze? Co Pan obecnie pisze?

**R. S.:** Ręczywiście przygotowuję obecnie jednocześnie parę większych rzeczy. Aktualnie pracuję nad scenariuszem filmowym. Mam już pewne doświadczenia na tym polu, gdyż przed czterema tygodniami zakończyłem pisanie innego. Będzie to filmy fabularne.

Nie zaniedbuję także teatru i aktualnie piszę nową sztukę.

**K. F.:** Domyślam się, że będzie to znowu komedia?

**R. S.:** Oczywiście tak, a w tym konkretnym przypadku komedia o problemach zatrudnienia. A choć pracuję nad tym wszystkim jednocześnie, mam nadzieję, że uda mi się zrealizować w całości plany twórcze i nie zawiodę ani moich czytelników, ani moich widzów.

**K. F.:** W imieniu Czytelników naszego tygodnika serdecznie dziękuję za tę interesującą rozmowę.

**R. S.:** Ja także dziękuję, że poprzez ten wywiad będę miał jeszcze jedną okazję być lepiej poznany przez czytelników w Polsce.

KONRAD FREJDLICH

## POCHWAŁA ŚWIEŻEGO SIANA

Rudi Strahl, najpopularniejszy autor komedii Niemieckiej Republiki Demokratycznej, nie jest także u nas, w Polsce, postacią całkowicie nieznaną. Można przecież wspomnieć wystawiony z powodzeniem w naszym kraju, szlagier wziętego autora, sztukę pt. „W sprawie Adama i Ewy”. Obecnie polski widz ma okazję obejrzeć kolejną, z sześciu utworów scenicznych Strahla, komedię niemieckiego pisarza: „Oszałamiający zapach świeżego siana”. Zapach ten musi być naprawdę oszałamiający, skoro w ciągu niespełna dwóch lat od napisania utworu, sięgnęło po ten tekst siedemnaście niemieckich teatrów po obu stronach Łaby. Polska prapremiera sztuki, która z okazji Dni Teatru NRD przedstawił w przekładzie i reżyserii Jana Perza Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej, byłaby zatem już jej osiemnastą inscenizacją, a to dowodzi, że powodzenie scenicznego piarstwa Strahla ma solidne podstawy. Tajemnica tej popularności kryje się chyba w prostocie pomysłu, który pod piórem pisarza przetrada się w pyszną sytuację komediową, nie pozabawioną wszakże wyraźnych akcentów społecznych, dzięki realiom zaczerpniętym ze współczesnego życia. Jest tu miejsce i na satyrę obyczajową, i na niemal etnograficzny obraz zapadłej niemieckiej wioski z jej językowymi dialektami, jest wreszcie wdzięk starej legendy zderzonej z prozą cywilizacji naszego wieku.

Oto w wiosce Trutzlaff, gdzie w sercu Meklemburgii, jest sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej imieniem Mattes, o którym ludowa fama głosi, że swoje sukcesy zawdzięcza i autorytet u podwładnych, a nawet zwykły szacunek u ludzi, zawdzięcza wiedzy czarowniczej odziedziczonej po swych antenach. Jakież to przewrotne zawiązanie intrzygi: wszak niejednemu przywódco jakiejś społeczności nie udaje się tego osiągnąć nie tylko przy pomocy wiedzy tajemnej, (przez którą rozumieć należy właściwe podejście do ludzi, a tego się przecież nie można nauczyć na żadnej uczelni), ale także poprzez nadużywanie władzy i wykorzystywanie swego służbowego stanowiska. Cudzy zdarzają się widocznie grubo dawniej, kiedy ludzkość była młodsza, albo też rozdziła je ludowa tęsknota do sprawiedliwości i prawości, czego śla-

dy odnajdujemy w tak licznych podaniach z przeszłości.

Ale wróćmy do Trutzlaff, gdzie zjawia się młoda i przystojna przedstawicielka wojewódzkiej instancji partyjnej (debiut aktorski tegorocznej absolwentki PWSTVIT — Anny Grzeszczak), aby sprawę czarów sekretarza zbadać na miejscu. Nieodświadczona pracownica aparatu zabiera się do tego z gorliwością neofity. Cóż z tego, skoro i na nią podziła czar o sobisty Bogusława Marczaka, który gra rolę Mattesa. Takie są oczywiście prawa komedii i innego rozwiązania być w sztuce nie mogło. Tylko że nie ma to już nic wspólnego ze zjawiskami nadprzyrodzonymi, zdaje się mówić autor, i mieści się w kategorii pojęć powszechnie znanych, gdy zetknę się dwoje młodych i samotnych. Zwłaszcza, gdy, jak to na wsi, wmieša się do wszystkiego upajający zapach świeżego siana.

Zarówno Anna Grzeszczak jak Bogusław Marczak stworzyli przekonujące postaci, potrafil bowiem pogodzić tak bardzo ludzki pierwiastek zafascynowania osobą płci odmiennej, z tym, co bym nazwał, sposobem bycia pracowników aparatu: pewną oschłością, pryncypialnością. I mimo uproszczeń komediowych, nie są przecież papierowymi.

Ale komedia nie może się przecież obejść bez intrzygi. Dlatego też wkrótce po przyjeździe panny towarzyszk Angeliki, w Trutzlaff zjawia się monsignore Aventuro, przedstawiciel Kurii Rzymskiej (Janusz Dziubiński). I on został wysłany służbowo, aby zbadać, czy komunista Mattes nie jest przypadkiem postacią, którą należałoby wciągnąć do panteonu świętych. I brat Romeo, mimo księżowskiej sukienki, nie jest wolny od ludzkich słabostek, i na niego podziła urok towarzyszk Angeliki, choć nie ma oczywiście żadnych szans przy sekretarzu. Nie na próżno Angelika nosi nazwisko Niewiara.

Intryga rozwija się konsekwentnie. Nie zapominajmy, że meklemburskie wieś są tradycyjnie protestanckie, w sprawach wiary ma więc w Trutzlaff sporo do powiedzenia miejscowy pastor Niebiański — doskonała rola Stanisława Mariana Kamińskiego. Widzi więc w tym rzymskim „jezuicie” przede wszystkim groźnego konkurenta w sprawowaniu rządu dusz, i ta

para — monsignore z pastorem stworzą kilka pysznych, zabawnych sytuacji, śmiechu jest więc co niemiara, aczkolwiek są to najsłabsze literackie partie tekstu, przechylające się w stronę farsy.

Nie wspomnieliśmy jeszcze o przedstawicielach miejscowej społeczności. Występuje więc w sztuce Matka Roloff (Walentyna Sakkilari), stara chłopka wiecznie poszukująca swego męża pijaka. Jest także symulant Paweł, zwany Krzywym, z powodu rzeźkomego garbu (Andrzej Jędrzejewski). Te ledwie naskicowane postaci, są przedmiotem manipulacji „czarodziej-skich” praktyk sekretarza Mattesa. Lokalną władzę reprezentuje przewodnicząca spółdzielni produkcyjnej Lidia, którą z dużym kunsztem zagrała Danuta Cwynarówna.

Dawno już zresztą nie widziałem zespołu Teatru Ziemi Łódzkiej grającego tak wyrównanie, na wysokim poziomie. Reżyser Perz potrafił więc wyprzedzić środki wyrazu, dzięki czemu otrzymałmy spektakl zwarty i czytelny. Oszczędna, choć pomysłowa scenografia Iwony Zaborowskiej utwierdza jeszcze widza w tym wrażeniu, podobnie jak opracowanie muzyczne Bogdana Pawłowskiego, który przerywnikami wypełnił pausy pomiędzy poszczególnymi scenami.

Myślę, że sztuka Strahla, spotka się z żywym przyjęciem w tzw. terenie, mówi bowiem o sprawach bliskich nam także tutaj, w Polsce. Zresztą widz miejski także znajdzie w tej sztuce coś dla siebie, o czym świadczyła reakcja sali na przedstawieniu premierowym.

Chwalmy więc zapach świeżego siana, chwalmy także ambicję sięgania po repertuar współczesny zwłaszcza, gdy te przyrządki kończą się nieklamnym sukcesem.

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej, Rudi Strahl: „Oszałamiający zapach świeżego siana” („Ein Irter Duft von frischem Heu”), komedia w dwóch częściach (siedmiu obrazach). Przekład i reżyseria: Jan Perz. Scenografia: Iwona Zaborowska. Oprac. muzyczne: Bogdan Pawłowski. Pierwsza premiera sezonu 1976/77

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

## TEATR nie bardzo ADEKWATNY

W Łodzi gościł ostatnio Teatr Adekwatny, który od roku 1969 pracuje pod opieką Stołecznego Domu Kultury Nauceyciela imienia Komisji Edukacji Narodowej w Warszawie, lecz który narodził się w roku 1964 w czeskim Ciesznym, i miał w swych początkach nazwę Teatru Adaptacji.

Skuszony sławą tego teatru skorzystałem z okazji przekonania się, czy jest zasłużona i 29 października zawiątałem w klubie „Plastyka”, którego uroki opiewał w jednym z poprzednich numerów „Odgłosów” Zbigniew S. Nowak. Jako posiadacz karty wstępu do tego klubu (zdobytej z niemałym trudem), zostałem wpuszczoney, mimo braku zaproszenia na spektakl ale tylko dlatego, że na parę minut przed jego rozpoczęciem, nie zanosilo się na frekwencję. I rzeczywiście, klub nie pękał w szwach, jak zresztą nigdy — może dlatego, że mimo zapewnień pana Nowaka, nie widziałem tu nigdy młodzieży szkolnej, a już na pewno prowadzący tu bufet agent (pani Jentka), nie jest za tym aby atmosfera tu była przyjemna. Może tylko pan Nowak ma tutaj niebawale chody, czego mu szczerze zazdroścę. Albowiem ja zaawazyłem, że pani Jentka cierpi na wotrobie (może od picia własnej kawy), i najczęściej nie ma humoru, a już na pewno ma bardzo głęboko gdzieś wszelką działalność kulturalną. Przykładem niech będzie to, co wydarzyło się w trakcie trwającego spektaklu: pani Jentka przekrzykuje aktorów, obtańcowała kogoś do słuchawki telefonicznej. Ale do rzeczy...

Teatr Adekwatny przyjechał do Łodzi ze spektaklem zatytułowanym „Pieśń Pana Bhagawad Gita”. W programie czytamy: „Bhagawad Gita” jest częścią wielkiego eposu indyjskiego „Mahabharata” — jednego z najstarszych dzieł starożytnych Indii (...) I jak to wyjaśnili twórcy spektaklu w trakcie późniejszej dyskusji, ich celem

było przede wszystkim odkryć dla Polaków ów epos — mniemam, że na miarę odkrywczości malarstwa meksykańskiego i prozy iberoamerykańskiej, a więc całego niemalże Meksyku. Być może jest to zasługa znaczna, lecz mimo to nasuwa się pytanie: dlaczego tylko taki przyswiewcał im zamiar?

Bohaterem „Bhagawad Gita” — w zasadzie wyjątkiem z niej, gdy chodzi o ten spektakl, jest niejaki Ardżuna, który staje na polu bitwy ma walczyć ze swymi najbliższymi przyjaciółmi, o cięga się, nie chce rozlewu krwi, a jednak musi walczyć, zmuszony wolą swego Boga.

Tak by pokrótce wyglądało streszczenie akcji. Jednak w treści tego spektaklu, kryje się rzecz niebawale uniwersalna, która gdyby zrezygnować z indyjskości dramatu, nie byłaby zaprzeczalna, bo stałaby się bliska nam współczesnym. Z ust Ardżuny otrzymujemy bowiem wiersz iście współczesny i poznajemy nasz własny dyktant, a uotşamajac się z bohaterem toczymy rozmowę z Bogiem, już wydawałoby się unicestwionym, tak, jak tego chcemy zgodnie z naszą (nie tylko europejską) ale po prostu ludzką) moralnością. Lecz oto Bóg Ardżuna zwycięża i okazuje się, że jest on tylko jego, Ardżuna, Bogiem.

Wniosek z tego jeden: że tym razem otrzymujemy ze strony Teatru Adekwatnego — problem nieadekwatny do współczesności, a przecież ambicją tego teatru jest ponoć dbałość o zrzućcie masek nie tylko z własnych twarzy, ale i z twarzy widza. Tymczasem aktorzy wystąpili przed nami w maskach bohaterów indyjskiego eposu i z ich artystycznego credo ostało się jeno: „...rezygnacja z charakterystyki, kostiumu i dekoracji w tradycyjnym znaczeniu...” bo też i wystąpili w dżinsach i swetrach, przy czym na szcze-

ście gra światła była taka, że patrzyliśmy wyłącznie na ciemne kontury ich sylwetek. Rodzi się przeto wrażenie, że reżygnacja z kostiumów wynikała li tylko z braku funduszy na ich zakupienie, bo jak się dowiedzieliśmy premieri Teatru Adekwatnego kosztu-ja zaledwie pięć tysięcy kasha. Był to więc dla mnie Teatr Adaptacji i to niezwykle wiernie tekstowi literackiemu i tylko mocno przyciętej do granic możliwości ubogiey sceny za pięć tysięcy. Ale... dowiedzieliśmy się także (z dyskusji po spektaklu), że mimo reżyserii Magdy Teresy Wójcik, scenarzysty i inscenizacji Jerzego Wójcika, wspaniałej muzyki w wykonaniu K. Kliczkiego, M. Bychowskiego, S. Gałazkowskiego i V. Gaczeńskiej oraz aktorstwa Henryka Boakolowskiego, Witolda Nożyńskiego i już wymienionej pani reżyser, spektakl „Pieśń Pana Bhagawad Gita” jest w dalszym ciągu iworzony, bo onl wyszyse jhnetnie korzystają z rad widzów i co słuszniejsze wykorzystują dla uzyskania adekwatności. Raz więc jeszcze radziłbym osobście, co już zresztą usiłowalem w trakcie dyskusji pospektaklowej, zrezygnować z wyłączności odkrywania przed rodakami „Mahabharaty” i robić to tylko przy okazji przekazywania nam problemu moralnego, który dotyczy każdego z nas, nie zaś tylko Ardżuna.

Niemniej jednak żaluje, że nie miałem okazji zobaczenia wcześniejszych spektakli Teatru Adekwatnego, bo był w jego repertuarze „Kordian” wg J. Słowackiego była „Antygona” wg Sofoklesa, „Mewa” wg Richarda Bacha i „Improvizacja” wg A. Mickiewicza — oczywiście między innymi. Chętnie o obejrze każdy następny spektakl Teatru Adekwatnego, może nawet razem z młodzieżą szkolną w tym samym klubie „Plastyka”, i już może wtedy nie przeszkodzi nikomu w graniu, stuchaniu i oglądaniu nietaktowna pani Jentka. Tak więc do zobaczenia.

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

## KOTY

Kto tylko zjawił się na ulicy, patrzył na parterowe okna poza kawiarnią Kowalczykowej. Co chwile wpadł ktoś do sklepika z nową wiadomością, każdy opowiadał co innego, lecz każdy wiedział, że się coś stało.

Jedno okno było zasłonięte storą. W drugim wisiła nieprzejrzysta, brudna firanka. Szyby były ciemnawe od pyłu, z podłużnymi smazkami deszczowymi, nie myte od długiego czasu. Gdy obecnie niektórzy z mieszkańców po kilka razy przechodzili obok, starając się przeniknąć wzrokiem do wnętrza — okazało się, że jest to niemożliwe.

Nigdy bardziej nie złościły ciekawych te zabrudzone szyby niż teraz, kiedy pragnęli cośkolwiek zobaczyć w nieprzeniknionym pokoju. Mieszkał tam pewien malarz z żoną. Nazywali się Walczakowie. Nic prawie nie wiadziiano o ich życiu. Stora w oknie była zawsze, dzień i noc, spuszczone. Nikt nie wiedział, dlaczego. Okno było koszmarem całej ulicy.

Starano się wypiąć stróża, bo on mógł najwięcej wiedzieć. Jego izba przylegała do pokoju Walczaków. Na nieszczęście był to mruk i trudno coś od niego wydobyć.

Mimo wczesnej godziny stało już kilkanaście osób w bramach i na chodnikach. Wiadomo dotąd tyle: Nad ranem usłyszano krzyki w mieszkaniu Walczaków. Za chwilę było to jeszcze przed otwarciem bramy, wybiegł na pół ubrany Walczak i, aby obudzić dozorcę, wołał go szlochającym, histerycznym głosem. Nad ranem wszędzie panuje cisza, nie dziwnego że wszyscy się dookoła pobudzili.

Potem wrócił Walczak z doktorem. Czekano, co teraz nastąpi? Najniecierpliwszą ze wszystkich pani Justyna kilka razy już pobiegła na podwórze, skąd zaglądała przez osłonięte drzwi Walczaków. Żadnego ruchu w kuchni. Na stole i na blacie pyłu. Wiadło, od dawna kuchni nie używano. Na piecu młynek do kawy.

Znowu usłyszano głośne jęki, dobywające się z mieszkania.

Kilka osób, nie zważając już na żadne względy, podesunęło się pod same okna, zaglądając. Zobaczyli cień za szymbami, który cofnął się.

Niespodziewanie rozległ się przejmujący sygnał i karetka pogotowia ratunkowego wjechała w ulicę.

Ktoś zawołał: „Ach, mój Boże!” Dzieci zbiegły się, pochylając się omal pod kola auta.

Sanitariusze wyciągnęli nosze. Pożerano ich wzrokiem. Wysiadł młody lekarz. Zapytał z niechęcią:

— Gdzie to?

Zaprowadziło go kilka osób. Drzwi otworzył Walczak. Gdy weszli, przyskoczyła do niego pani Justyna, przejęta żądzą wydobycia jakiegokolwiek wiadomości, lecz w tej chwili drzwi zamknięto jej przed nosem.

Mały ulicznik Gustek roześmiał się złośliwie.

Gapie ustawili się z dwóch stron między bramą a karetką. Na piętrze otworzono okna, skąd do połowy wychylił się ciekawym, nieomal leżącym na parapetach okiennych. Opowiadano sobie, co wiedziano o Walczakach.

Niewiele. Że żył w biedzie. Że widywano go, jak czasem wynosił obraz na sprzedaż, po czym wracał z nim z powrotem.

Dano znać z sieni, że ją wynoszą. Nastąpiła naprężona cisza.

Za nią przeszedł mąż, mrużąc coś niezrozumiale. Chudy, wymizerowany gruźlik, w okrągłym, płaskim kapeluszu, z rudawymi, jakby speszylimi baczkami. Robił wrażenie postrzeleńca.

Milczenie trwało aż do szurgnięcia noszy, wkładanych do karetki i zatrzaśnięcia drzwiczek, gdy już Walczak z doktorem wsiadli do środka. Z chwilą odjazdu samochodu zebrani, zda się, odetchnęli po silnych wrażeniach.

Obstąpiono Matwiejczykową, bo zawsze miała skądś wiadomości szczególnie drastycznej treści. Spostrzeżono się jednak, że tym razem informacje jej bardzo luźnie wiązały się ze sprawą Walczaków, a raczej przypominają zaszłe historie, o których słyszano już kiedy indziej.

U Bobikowej, w sklepiku, roztrząsano całe zdarzenie aż do południa, kiedy wpadła pani Justyna. Niestara jeszcze kobieta, wysoka, obecnie bardziej niż zwykle podenerwowana. Wracała już ze szpitala, dokąd powieźli Walczakową.

— Dali ją na oddział zakaźny!

— Na zakaźny?

— Ma dur brzuszny.

— To już po niej. I z czego?

— Mówiłam z doktorem, powiedział, że to z głodu.

Dobrze odżywiona maglarka, jakby nie rozumiejąc, zawołała:

— Z głodu?!

Pani Justyna, ciągle ruszając rękami i poprawiając wszystko na sobie, włosy, suknię, łańcuszek na szyi, dzieliła się wiadomościami: że Walczak wprost odchodził od zmysłów, że wymógł aby go umieszczono razem z żoną w separate, że nie wiedzieć skąd mu się wzięła taka miłość?

Bobikowa zauważyła pobłażliwie:

— Może ją zawsze tak kochał?

A pani Justyna na to:

— Za tą zapuszczoną storą...

Wypytywano o chorobę.

Pani Justyna rozmiłowana w chorobach wybiegła dopiero wtedy ze sklepu, gdy każdy dokładnie wywnetrzył się i gdy rozmowa znowu powróciła na temat Walczaków.

Teraz Matwiejczykowa cmoknęła domyślnie. To nieprawda, co pani Justyna opowiadała. — Nie? — Nie. To było całkiem co innego...

Tymczasem Justyna zobaczyła dozorcę kamienicy, w której mieszkali Walczakowie, i zatrzymała go przy bramie. Stróż miał stałe pochyloną głowę, jakby przez przyzwyczajenie się do rezygnacji, a wargi obwisnięte jak od wypływanej goryczy.

Słuchał, co mu mówiła lokatorka, nie spojrzawszy na nią. Nigdy na nikogo nie patrzył. Nie widzieli się jego oczu podążających spojrzeniem za własnymi troskami po ziemi.

— W biedzie żyli, w dużej biedzie — zamruczał. — W większej niż ja. Pokiwał głową pochylając ją jeszcze niżej.

— Raz wszedłem do kuchni, bo była otwarta...

Urwał. Pani Justyna łapała oddech w chude piersi, z obawą czy dozorca nie machnie nagle ręką i nie pójdzie, jak zwykle, bez jednego słowa.

— Stałem. Czuć tam było koty. Usłyszałem, że Walczak krzyczał w złości na żonę, przeżywał brzydko, wreszcie słyszę, że szarpie nią, aż zaczęła głośno lamentować. Wtedy on od razu przestał krzyczeć i — coś upadło. Otworzyłem trochę drzwi z przedpokoju, ale nie zobaczyli mnie. On przed nią klęczał, całował ją po rękach, po nogach — przebac, przebac mi, Marcysiu! powtarzał — i mówił do niej naraz tak, jak do jakiejś świętej.

Pani Justyna dotknęła skroni chusteczką i przez suknię poprawiała podwiązki.

— No, no — co dalej?

— Wszystko z biedy. Powiedział mi raz: „Widzicie... ja to nie z tych, co kłaniają się mojemu. Ja tylko — powiada — moje obrazy i dlatego tak żyję... O, widzicie, jak żyję...”

— I co?

— Wszystko z biedy. — Stróż już nie zważał na pytania. Nie miał więcej ochoty opowiadać i nic nie pomogło, choć pani Justyna zagradzała mu drogę, bez skutku, aż do jego izby. Wracając zwróciła jego niemowność, równocześnie jaśniejącą zadowoleniem, że się odkrył przed nią rabek tajemniczego życia malarza. Spieszyła się z nowiną do Bobikowej.

Przechodząc koło mieszkania Walczaków spojrzęła na ich drzwi i zadrdła — były uchylone.

Nie zwróciła na to przedtem uwagi, a widocznie nie zamknął ich Walczak, gdy półprzytomny konwojował żonę. Nikt tego nie zauważył, bo już by się było rozniosło.

Pani Justyna dygocząc z ciekawości rozglądała się, czy jej kto nie widzi? Nikogo wokół. Jak widać dałaby za obierzenie tego mieszkania! Jest przed nią otwarte. Przez nie domknięte drzwi widać półcienie przedpokoju.

Wie, że Walczak nie wrócił. Mogłaby w mieszkaniu zostać cały dzień. Jednak rozumie, że jeśli tam wejdziesz, może się zarazić. Wzdrygnęła się.

Urzędowa kartka, nalepiona na drzwiach: „Tyfus brzuszny — Wstęp wzbroniony” — straszyla ją groźnie.

Nie powinna wchodzić, ale czuje, że wchodzi. Widocznie już tak jest. że człowiek poddając się szkodliwej namiętności, choć nie przestaje oceniać zła, nie sprzeciwia się przemożnej sile, która go widzie, bo mu z nią dobrze i dlatego sobie wybacza.

Przemknęło jej jeszcze przez myśl, że może nadejść ktoś wysłany ze szpitala i zasiać ją w obcym mieszkaniu. Popchnęła drzwi. Prędko wsunęła się do przedpokoju.

Serce jej bije. Na prawo kuchnia, to nieciekawo. Na lewo pokój. Powstrzymuje ją ostatnia obawa, czy tam kogo przypadkowo nie ma? Może ktoś wrócił i nie zamknął za sobą? Może wyprzedziła ją jaka inna ciekawa osoba? Przejęła ją coś w rodzaju oburzenia. „Okropne, gdyby mnie kto tutaj zobaczył!” Ale nie ucieka. Stoi w niepewności, ręką dotykając twarzy, włosów, sukni.

Niemożliwe, żeby ktoś tam był. Usłyszałaby już jakiś ruch, nawet oddech. Dochodził przytłumiony turkot wozu, przejeżdżającego poza pokojem przez ulicę. Na pewno nikogo nie ma w pokoju.

Otworzyła ostrożnie drzwi i zobaczyła przed sobą, z kilku stron, zdziwione oczy, wszystkie zwrócone na nią.

Czekano, kiedy przyjdą zdezynfeko-

wać mieszkanie po chorej, spodziewając się, że przy sposobności będzie można zaglądnąć do zagadkowego pokoju.

Aby nie przegapić okazji, kręcono się w pobliżu. — Niejedno wyjdzie na jaw — mówiła tajemniczo akuszerka, stojąc z Janikową naprzeciw ciemnych okien i poruszając brodą domyślnie. — Aż dreszcz mnie przechodzi — odpowiedziała Janikowa, nazywana powszechnie „starą dziadową”.

— Rozpusztą się tam chyba wyprawiała, nie innego — zagadnęła Matwiejczykową jakaś służąca, o lakomej, niewyżytej ciekawości w oczach, chcąc ją pociągnąć za język. Ta mlasnęła wargami, jakby smakowała wyrazy zabierając się do opowiadania. Maglarka uprzedziła ją głuławo:

— I w kuchni nie gotowali. Cóż jedli?

— Na maszynie elektrycznej pitrasill albo na prymusie — przerwała niezadowolona służąca, czekając co powie Matwiejczykowa.

— Na maszynie? Cóż można ugotować na maszynie? — zdumiała się maglarka. — Chyba jajka albo herbatę. Nie mogła tego pojąć, bo sama używała większą część dnia na przyrządzaniu sobie różnych przysmaków, reszcie godzin spędzając w kościele lub na klepaniu pacieryz w domu, kiedy już dziewięć godzin odzyski od magla, który dawał jej niezgorszy dochód.

— E, pani tylko z tym jedzeniem — zganiwała się służąca. — Niechby sobie gotowali, co chcieli.

Ponieważ tymczasem Matwiejczykowa przeszła do innych, służąca przypomniała sobie co innego:

— Oj, miałam iść po ocet do obładu! Leć, bo jeszcze mi sklepik zamkną!

Staszka stała na stopniach kawiarenki, spoglądając na ożywioną uliczkę i wypatrując mężczyzn. Zabawiała się poruszeniem swojej krótkiej spódniczki, najwyszy ją z obu boków.

Pani Justyna po chwilowym wstrząsie, jakiego doznała w pierwszych chwilach, przekonuje się, że te gorące oczy, wpatrzone w nią bez przerwy, z siłą instynktu, który każe otoczyć wzrokiem obcą istotę, aby z najdrobniejszego ruchu rozpoznać jej zamiar — są to oczy kocie. Wokół wyleguje się kilka kotów.

Skape światło, wdzierające się przez przysłonięte okna, rozszerzyło żrenice pozostawionych samotnie kilku zwierząt. Jedno z nich przechodzi beżgłośnie po podłodze. Na kanapie, w środku, w wysiedziałym wgłębieniu, skąd wylała kiłki, leży ogromny i puszysty angora. Ten patrzy się bez bojaźni, obojętnie. Inne mają w oczach zaniepokojone zielonkawe błyski.

Pani Justyna spojrzęła na nie ze złością za doznany moment strachu. Rozgląda się dookoła. Powietrze duszne. Ma wrażenie, że widzi w nim wirujące zarazki jako krwiste nitki. Znać tu nędzę. Mało mebli, niewiele rzeczy, które już pewnie w większości powędrowały do handlarzy. Na stoliku kurzu i rozgardiasz. Pościel na łóżku rozrzucana po wyniesieniu chorej. Justynie wydaje się nawet, że czerwona kołdra ma kolor zakrzepłej krwi.

Koło okna z zapuszczoną storą, na stalugach, portret nagiej kobiety, naturalnej wielkości, leżącej z puszystym białym kotem.

Ciekawka podchodzi bliżej. Poznaje, że jest to portret żony malarza. Obraz malowany jest aż nazbyt realistycznie! Ciało zniszczone, o kształtach naznaczonych wiekiem, o włosach siwawych.

Justyna czuje zawrót głowy. Nie spodziewała się, że zobaczy tu taką podobną osobę, którą niedawno wy-

nieśli półżywą na noszach, że zobaczy tu Walczakową — naga.

— A kot przy niej, to ogromny angora z kanapy — myśli nerwowo. — Widocznie Walczaka nie stać było na modelki. Pozowała mu żona. Widać to z innych obrazków i szkiców, pozostawianych w pokoju. A może chciał malować ciągle portrety żony? Może właśnie pragnął mieć ją taką, jaką teraz była, którą wiek mu nie zbrzydził? Dodaje w myśli stanowczo: — wygląda na dziwaka.

Pani Justyna nie wiedziała, że obraz wyobrażał „Oczekiwanie”. Taki tytuł malowidła dał Walczak, kochający bez pamięci żonę. Gdyby obraz pokazał ludziom obcym, oznaczałoby „Wspomnienie”. Widocznie źle jest, jeśli artysta kocha więcej życie niż sztukę. Nie spełni zadania, któremu się poświęcił.

Ze stołu przygląda się przybyłemu kot, czarny, ale zdumiała i tak chudy, że gdy znużony się wyprężył grzbiet, widoczny kręgosłup zda się grozi przedarcie futerki. Biedne kociska nie mogły zrozumieć tej nieznannej osoby, która choć nie wyrządza im krzywdy, ale też nie zamyślała je nakarmić. Bury kot z czarnymi pręgami, wyszedł z kąta, zamlauczał głośno. Justyna wzdrygnawszy się spojrzęła z przestrachem w okno, czy ktoś z ulicy nie może jej dojrzeć? Dla pewności odsuwa się pod ścianę. Przez te szyby ludzie kręcący się na chodniku są jakby zamazani.

Jak może najciszej wycofuje się do drzwi, odprowadzana bystrymi kocimi spojrzeniami. Wydostaje się z sercem kolatającym przez przedpokój do sieni, zostawia za sobą drzwi niedomknięte i biegnie, nie wiedząc dlaczego, w górę, na schody.

— Jak pani źle wygląda! — zauważyła niespodziewanie lokatorka z pierwszego piętra, uchylwszy drzwi dla przekonania się, kto tak prędko biegnie.

Pod Justyną ugięły się kolana. Lokatorka rozpoznaje natychmiast, że znajoma czuje się jakoś niewyraźnie, chce złoćwie nieuchwytną jeszcze zagadkę, otwiera szybko drzwi i złośliwie wykorzystuje sytuację: — Do kogo pani tu idzie?

Wie, że na drugim piętrze mieszkają właściciele domu, którzy wyjechali i w mieszkaniu nie ma nikogo, naprzeciw biuro notariusza w tych godzinach zamknięte i nikt tam nie urzęduje. Pani Justyna do nikogo nie może tutaj mieć interesu.

Poblada, mimo różu na twarzy, dławiąca się własnym sercem Justyna odpowiada zdyszczanym, prawie płaczącym głosem:

— Kot mi uciekł, proszę pani.

— Kto?

Lokatorka stara się zdziwionej i zawiudzonej minie nadać trochę współczucia, ale pokrywa ją niedowierzanie.

Justyna wyjmując chusteczkę i wyciera nos bezpiecznie, uratowana, a dopiero co bliska kompromitacji. Myśli że złością. „A to szelma! — Do kogo pani tu idzie? — Tak małe zajęcia! Trzeba mieć dużo zimnej krwi, aby się nie dać złapać.” I kończy na głos, odpalając się również złośliwością:

— Nie widzi pani mojego kotka? Lokatorka, czując że coś jest poza tym i że się znajomka jej wymyka, nie pozostaje dłużna.

— To pani ma kota? Nie o tym nie wiedziałam. Chyba go pani ukrywa w worku.

Obie uśmiechają się grzecznie i ja dowiedle, po czym pani Justyna biegnie na drugie piętro nawolując bardzo głośno:

— Kici! — kici — kici — kici —

HENRYK CZARNECKI

Wiersze

## ZEGARY MÓJ DOM

Zegarek na rękę nie ma inteligentnej twarzy.

— Za młody.

Czas nie zdążył wyrzeźbić jej dłutem.

Najciekawiej chodzą stare zegary.

Najstarsze.

Popsute.

Na jednym zegarze deszcz pada,

więc o deszczu z nim gadam.

Odmierzam deszczowe krople

i moknę...

Drugi, z rycerzami przy boku:

mosiężny, ciężki, powolny

— przeżył dwie wojny

i kiedyś mi szepnął w sekrecie,

że by mu sprężyna pękła przy trzeciej,

więc zatrzymał się na drugiej trzydziści.

Na trzecim tarcza wskazuje uśmiech Glocondy:

godzinę dziewiątą.

— o dziewiątej ktoś przyszedł, ktoś wyszedł,

dwie dziewiąte godziny więc słyszę.

Przez całą dobę po domu się krząta:

godzina dziewiąta

Lubię powracać do mojego domu,

otwierać wierne drzwi,

stawać w progu,

słiec uśmiechów zarzucać

i łowić dni,

w których było mnie pełno.

Lubię powracać do mojego domu,

pogłaskać piec po brzuchu,

z wazonu na stole pić kwiaty,

sufitowi jak bratu

rzucić do góry uśmiech

potem obejrzeć w starym lustrze

swoją zapomnianą twarz.

Firankom się zwierzyć

z przeżyć.

Lubię powracać gdy deszcz dobiega się do okien.

Lubię pokręcić trochę

galką przy radiu.

Mój dom jest dobry jak warkocze,

jak starsza siostra,

jak matki oczy,

jak pogłaskanie po twarzy

jak sen przed północą.

W moim domu jest wczoraj i jutro.

W moim domu jest płyta z piosenką o domu.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

# OSTATNIE LATA STANISŁAWA CZERNIKA



Stanisław Czernik do końca swego pracowitego życia wierzył, iż siła fatalna poezji, i w ogóle sztuki, uszlachetnia równie czytelników, jak i jej twórców. Stąd widział w niej przyszłościowe remedium na wszelkie niepokojące go zjawiska społeczne, zwłaszcza wśród młodzieży. Stąd idea „stu tysięcy poetów” — nieprofesjonalistów. Poeta — w którym twórczość i marzycielstwo stanowiło jedyny w swoim rodzaju stop psychiczny — zdawał sobie sprawę z utopijności tej koncepcji. Dlatego napisał w zakończeniu wypowiedzi o swoim rozumieniu poezji „Kierunek przemian” (wypowiedzi, która stała się jedną z jego ostatnich, nabrała niespodzianie ciężaru gatunkowego testamentu): „zanosz się na to. Jak na dobrą pogodę. Prognostyk. Jak w każdej meteorologii — sprawdź się lub nie”. Ale też Czernik dobrze wiedział, że choćby częściowa jej realizacja może przynieść pozytywne społecznie owoce. A zatem gdy przy końcu lat pięćdziesiątych znalazł wreszcie w młodym Wydawnictwie Łódzkim bazę dla jej częściowej realizacji — przystąpił do wykonywania misji z powróconymi siłami dawnego ostrzeszowskiego działacza.

Stworzył trzy stałe serie poetyckie.

Pierwsza to „Biblioteka Poetów” — wydawnictwo coroczne i w swej koncepcji edytorskiej nowatorskie. Ukazywało się jednocześnie do dziesięciu odrębnych tomików poetyckich w niezwykle starannej szacie graficznej projektu plastyków „Pięta Kola”. Wszystkie tomiki objęte były sprzedażą łączną i zamkniętą w ozdobnym futerale oprawionym w szafranowe płótno. „Biblioteka Poetów” zdobyła sobie z miejsca duże uznanie na polskim rynku i jako rarytas bibliofilski eksponowana była szereg razy na wystawach zagranicznych, a także eksportowana przez Ars Polona. Pierwsze dwie serie poświęcił Czernik jeszcze tylko w połowie debiutom i półdebiutom myśląc o poprawie sytuacji kadrowej i psychicznej Związku, ale już w bliskiej przyszłości planował oddanie Biblioteki w całości młodzieży poetyckiej, i to z całego kraju. Warto w tym miejscu wspomnieć, że w Czernikowskich edycjach „Biblioteki” debiutowali m. in. tak wybitni niebawem i powszechnie uznani poeci, jak Jarosław Marek Rymkiewicz, Zbigniew Kosiński i Bernard Sztajnert.

Druga seryjna edycja to almanach „Rzecz Poetycka”, nawiązująca w koncepcji i w idei służebnej do ostrzeszowskiej „Okolicy Poetów” — z tą wszakże modyfikacją, że Czernik, na razie przynajmniej, przygotowywał jedynie zeszyty monotematyczne. „Rzecz Poetycka” miała stać się według planów Czernika zaczątkiem ogólnopolskiego młodzieżowego pisma poetyckiego — trybuną „kadrówki” i kierunkowskazem dla owych „stu tysięcy”. Ślad dydaktyczno-agitacyjny i dość popularny charakter jego odredakcyjnej publicystyki. Prostujący ścieżki „stu tysięcy” człowiek, który po praszczurach odziedziczył gospodarskie oko (a więc wyznawca hasła, zanim jeszcze spowszedniało w siece publicystycznej: „każdy kłós na wagę złota” — również i na niwie literackiej) zaczął od dwóch tomików antologijnych: „Sto wierszy” i „Młodzi”. „Sto wierszy” było przekorną wobec obiegowych „bezapelacyjnych” sądów warszawskich zoliów prezentacją wierszy dużej liczby poetów systematycznie nie zauważanych przez „liczącą się” krytykę. Tom „Młodzi” w większości wypadków po raz pierwszy zaprezentował polskiej opinii czytelniczo-krytycznej młodych i bardzo młodych wówczas poetów, z których dziś około dwudziestu to twórcy o głośnych i bardzo głośnych nazwiskach. Trzeci zeszyt „Twożywo” poświęcił redaktor „Rzeczy” genetyce aktu twórczego i jego imperatywom — szczególnie społecznym.

Trzecia seria, służąca podniesieniu rangi łódzkiego środowiska pisarskiego w oczach miasta i kraju, to Biblioteka Laureatów Nagrody Literackiej m. Łodzi.

Ideę stworzenia w „złym mieście” (jak je nazwał reportaż sprzed pierwszej wojny, Bartkiewicza, a za nim jak za panią matką paclierz, z racją i bez, wytarty już frazes wciąż powtarzający się w wierszach, którzy o Bartkiewiczu nie słyszeli) silnego ośrodka poetycko-artystycznego, promieniującego na kraj, a także idei integracji środowisk twórczych, na długo przed rzuceniem tego hasła odgórnie, służyć miała także powstała pod koniec lat pięćdziesiątych i ciesząca się szczególną i bynajmniej nie tylko werbalną sympatią Czernika grupa poetycko-plastyczna „Pięta Koła”.

Wydawnictwo Łódzkie w wyniku zdania na celujący próby życia i wykazania jego nieodzowności kulturalnej weszło pod koniec drugiego roku naczelnej redakcji Czernika w okres upaństwowiania — przestało więc mieć charakter efemerydalny.

W czwartej kadencji prezesury Czernika Łódź literacka weszła także w okres nie notowanego dotąd (z wyjątkiem drugiej połowy lat czterdziestych, czyli lat wypożyczenia Łodzi Warszawa) rozwoju, stała się ośrodkiem liczącym w kraju. Rozwój ten miał wszelkie dane, aby stać się rozwojem „ostro w górę” i nie zakłóconym.

Zakłóciły go jednak i zadały mu silny cios (w języku piłkarskim nazywa to się strzałem do własnej bramki — zjawisko w Oddziale ZLP częste wskutek pewnych prawidłowości psychiki zbiorowej środowiska — dość częste) zawiść, podejrzliwość, posądzanie o czerpanie korzyści, wreszcie szewska pasja, jaką wzbudza wśród niektórych fakt, że przez szereg kadencji zajmując eksponowany fotel ten sam efekt. Czernik, rozgorączczony złą wolą paru hulaśliwców z zamłowania, wyskokami i aktami głośnej i szemranej propagandy, podał się do dymisji i jako prezes, i redaktor naczelny wydawnictwa.

W jakiś czas przedtem jednak, a w kilka dni po zorganizowanym przez Wydział Kultury uroczystym jubileusz 35-lecia pracy twórczej Czernika spotkaliśmy się u pana Stanisława — małe, najbliższe grono. Był to niezwykle miły i serdeczny wieczór. Młoda Czernikówna grała na pianinie mazurki Chopina. W pewnym momencie gospodarz odwiódł mnie na bok, niby ku swym rarytasom bibliofilskim, i zaproponował porzucenie dostojnego fotela w Wydziale Kultury PRN i przeniesienia się na krzesło redakcyjne w upaństwowionym Wydawnictwie. Może się to wydać komu dziwne, ale nie namyślałem się długo. Długoletnia już nerwowa i nieustannie dekoncentrująca praca administracyjno-organizatorska, z dziesiątkami wciąż wisiących nad głową mieczów Demokle-

sa, uniemożliwiała intensywniejsze zajęcie się pisaniem i mój dorobek literacki był zbyt niski w stosunku do ciężaru lat, jaki zacząłem już po trosze odczuwać. I tak oto w styczniu 1959 r. znalazłem się w Wydawnictwie Łódzkim. Ale że niebawem nastąpiły owe wydarzenia w światku koleżeńskim, o których wspominałem, przyszło mi pracować pod kierownictwem autora „Tryptyku nauczycielskiego” bodaj tylko tydzień. Jako jedyny praktykujący poeta w gronie redaktorów, a niegdyś krytyk poezji, niezależnie od innych zajęć redakcyjnych, przejąłem po Czerniku dział poetycki w tym i — z dużymi oporami (na kategorię polecenie nowego pierwszego po Bogu) „Rzecz Poetycka”. Porozumiewałem się jednak dalej z panem Stanisławem w sprawach dalszego prowadzenia „Biblioteki” i bardzo liczyłem się z jego radami, zaleceniami i zastrzeżeniami. Naśladowałem go też, jak umiałem (w pewien sukurs też mi zresztą przychodziła zaprawa pedagogiczna) w rozmowach typu konsultatorskiego z najmłodszymi poetami. Czernik zalecał mi uwadze zdyscyplinowane wiersze Ewy Dąbrowskiej, Jerzego Tyneckiego, Stanisława Cieślaka, Eugeniusza Zaryckiego (w kilka lat później ten świetnie zapowiadający się młody twórca zmarł tragicznie w Zgierzu) i Jana Onopy (Czernik i współkonsultant kolejnej skatunki Zbigniew Bieńkowski podziwiali w nim niespokojną wyobraźnię i odwagę w kojarzeniu metafor). Miałem już i swoje własne pierwsze znaleźiska: m. in. Michała Szargana, Adama Putę, Mieczysława Kucnera, Jerzego Wilmańskiego i in. Przyjawszy z dużą niechęcią „Rzecz Poetycka”, poprosiłem o współpartnerstwo w prowadzeniu almanachu Jarosława Marka Rymkiewicza. Było ono wybitnie koncepcyjotwórcze i owocne — w odróżnieniu od wkładu innych kolegów, przydzielanych nam do pomocy przy poszczególnych zeszytach, jako że „tres faciant collegium”. W słowie odredakcyjnym pierwszego zeszytu „Konwencje” złożyliśmy serdeczne podziękowanie dotychczasowemu Redaktorowi „Rzeczy”... Właśnie w chwili, gdy to piszę, usławiłem sobie, że gdy trzej młodzi poeci następnego pokolenia, zachęceni przeze mnie, podjęli na nowo trud prowadzenia „Rzeczy Poetyckiej” (w odróżnieniu od obu poprzednich redakcji — odpłatnie) i wydadli pierwszy po przerwie jedyny, jak się potem okazało, tom z podtytułem „Środowisko”, nie czuli się już obciążeni „mieszkańskim konwenansem” napomknięcia o swych poprzednikach. Sztafeta pokoleń demonstruje różne style przejmowania pałeczki.

Czernik pozostał w tamtym czasie dla nas nadal najbardziej cenionym współpracownikiem „Rzeczy”. W „Konwencjach” ogłosił trzy prześliczne prozy poetyckie: „Kretowisko”, „W zaroślach akacji” i „Cerkiewka”, w „Tyglu”: szkic — wspomnienie o początkach swej twórczości i latach ostrzeszowskich pt. „Patyna”, wreszcie w „Inspiracjach” wspomniany już tu esej „Kierunek przemian”. Ale poszczególne tomy „Rzeczy” wychodziły, niestety, z powodów niezależnych ode mnie i Jarka Rymkiewicza, znacznie rzadziej niż w Czernikowskich czasach, i przy bardzo dużej opozycji zeszytów ad calendas graecas, a także — bo i tacy się zdarzają niemal wszędzie — osobistych nieprzyjaciół poezji. Za to znacznie rozszerzyliśmy liczbę współpracowników almanachu. Drukowali w nich wszyscy bodaj najciekawszy poeci tamtych lat. „Konwencje” i „Tyglu” spotkały się z niezwykle pochlebnymi recenzjami (m. in. Spiewaka w „Twórczości”). Powszechnie spodziewano się, zwłaszcza po nasileniu starań Zarządu Głównego ZLP o powołanie do życia pisma poetyckiego, iż łódzka „Rzecz Poetycka” stanie się jego zaczątkiem. Niestety, wspomniana opozycja wewnątrzwydawnicza (a i w nowym zarządzie Łódzkiego Oddziału ZLP, który starając się o powołanie nowego almanachu ogólnoliterackiego, obawiał się, że stary będzie mu w tym zamiarze zawadą) doprowadziły do zawieszenia „Rzeczy Poetyckiej”...

Po wyjściu „Reki” i „Trzech zór dziewiczych” wystąpił w Wydawnictwie Łódzkim z projektem wydania Laureatów Nagrody Ministra Kultury i Sztuki nowego, pięknego edy-

dorsko wyboru jego ulubionych wierszy. Ciekawe, że wybrał głównie tylko z pierwszego i ostatniego okresu twórczości. Wystaraliśmy się o ładny papier (satynowany, chamois). Poszczególne cykle-czury lat przedzielały winiety plórką pani Pawlikowskiej, przedstawiające kwiaty polne. Tytuł całości dał pan Stanisław „Wiatr od ziemi” (parafraza Słowackiego: „Wiatr od ludu”).

Pan Stanisław czuł się już bardzo klepsko. Ostatnią rozmowę: autor — redaktor — odbyliśmy u niego w domu. Po raz ostatni siedziałem przy jego okrągłym stoliku na tle olbrzymiego regału z książkami. Niby jak często przedtem, tylko że już mój gospodarz nie krążył, jak to miał zawsze zwyczaj po pokoju, z rękami splecionymi do tyłu.

Wypadł jubileusz kolegi, wcale nie z kręgu Czernikowskiego. Jubilat mówił o różnicach między natchnieniem a inspiracją. Naraz wszystkie oczy zwróciły się na drzwi. Ukazał się w nich prowadzony pod rękę przez pana Mieczysława — syna byłego prezesa i twórcę wydawnictwa. Chudy, już tylko skóra i kości. Spojrzeliśmy po sobie: nie było chyba nikogo, kto by nie zdał sobie sprawy, że w tej chwili właśnie dokonuje się ciche pożegnanie Czernika ze Związkiem i kolegami. W kątku cicha narada redaktorów z Wydawnictwa: Trzeba na gwałt przyspieszyć druk „Wiatru od ziemi”, żeby autor zdążył go jeszcze wziąć do ręki... Ale Czernik zdążył już tylko dokonać korekty.

Trumna nie odjechała na cmentarz wozem drabiniastym, jak to sobie poeta zamarzył w wierszu. Skąd by taki wóz wziął w Łodzi fabrycznej i to w erze „natchnionego traktora”? Pokropił, szelest spadających grud ziemi, książd śpieszył się wyraźnie. Po zarządzeniu ostatniej modlitwy, „za duszę świętej pamięci Stanisława” obojętnie odszedł. Wyraźnie nie zdawał sobie sprawy, kim jest zmarły, którego odprowadził do „ziemi matki miłej”. Osób mało — paru kolegów, bibliotekarki, jakieś uczennice. Wiał wiatr od ziemi. Chłodny, obojętny poetom, poezji, przemijaniu, tworzeniu.

## FRAGMENT WIĘKSZEJ CAŁOŚCI

P.S Pan Igor Sikirycki po przeczytaniu zamieszczonego w nrze 10 952 „Odgłosów” innego fragmentu moich wspomnień o Czerniku (drukowałem je i w kilku innych polskich pismach literackich) prosił mnie o sprostowanie podanej informacji, jakoby jego debiutancki tomik „Wolanie drzew”, wydany w 1947 r. i sygnowany przez ZLP, wyszedł „częściowo nakładem własnym autora”. Wiadomości tę podałem zgodnie z informacjami, jakie udzielił mi przed ćwierćwiekiem tamczesni moi i Sikiryckiego koleźcy. Igor Sikirycki oznajmił mi teraz, że „Wolanie drzew” wyszło wyłącznie nakładem Oddziału Łódzkiego ZLP, z tą tylko modyfikacją, iż autor i grafik nie otrzymali honorarium. Informację tę przekazuję niniejszym do wiadomości P.T. Czytelników.

Ze swej strony zgłaszam jednak uwagę, że różnice między wydaniem tomiku „częściowo własnym nakładem” a wydaniem bez naruszenia funduszu honoraryjnego za całkiem drobną, a pewną pretensją do mnie autora „Wolania drzew” za cokolwiek anachroniczną: w okresie międzywojennym, a i przez pierwsze lata po wyzwoleniu, wydawanie własnym bądź częściowo własnym nakładem było praktykowane przez debiutantów, nieraz późniejszych koryfeuszów literatury, i traktowano te sprawy bez żadnej żenady. Informacja o tych — zgodzmy się — skomplikowanych edytorsko narodzinach książki (którą wyjątkowo w dorobku Sikiryckiego cenię) w uprzednio ogłoszonym fragmencie była mi przydatna do ukazania nietłowej sytuacji łódzkich młodych poetów w ciągu ośmiu lat przed 1956, a zwłaszcza przed powołaniem przez Czernika w nowo powstałym Wydawnictwie Łódzkim — Biblioteki Poetów — w okresie, w którym nie ukazał się na wityrach księgarskich ani jeden tomik debiutancki poety łódzkiego, chociaż naówczas w „Kominogrodzie” dojrzało do debiutu co najmniej dziesięciu młodych poetów.

T. Ch.

Dalszy ciąg ze str. 1

I oto pewnego dnia padła interesująca propozycja, aby udać się w góry Elbrus. Ruszamy wczesnym rankiem, aby przed południem być już znów w Teheranie. O tej porze w górach nie będziemy tak bardzo narażeni na promienie słoneczne. Jedziemy jakis czas ulicami Teheranu, wyjeżdżamy wreszcie poza miasto, na pustynną równinę. Skończyły się asfaltowe drogi, za samochodem ściele się tuman kurzu. W tym kurzu dojeżdżamy znów do asfaltu, którym pokryta jest droga wiodąca na północ przez góry Elbrus.

Z tarasu hotelu „Miami” w Teheranie wydawało się, że te ogromne pustynne góry są tak blisko. Ale to tylko złudzenie. Sporo minęło czasu nim droga weszła między górskie zbocza. Teraz już mamy przed sobą i za sobą. Droga wiję się między stromymi zboczami i nieustannie pnie się do góry. Mijamy inne samochody. Ruch tu nie jest taki wielki jak na szosie łączącej Teheran z Isfahanem. Mijamy irańskich wieśniaków na motocyklach. Mijamy wreszcie najpopularniejszy tu środek lokomocji — osły.

Przed nami, tuż przy drodze, spory dom z kamienia, ustawiony na skalnym występie. Jest to coś w rodzaju przydrożnej karczmy, tyle tylko, że można tu napić się coca coli z lodu oraz kawy. W tyle, za „murawańcem”, żelazne rusztowania budujące się weraudy. I zaskoczenie. Gdzieś głęboko w dole soczysta zieleni i strumień warko wypływający ze skały.

Jeszcze tylko samochód ustawił tak w cieniu skał, aby nie nagrzął się zbyt do naszego powrotu i ruszamy pieszo w górę. Której? — zastanawiam się, rozglądając się w kolo, ale okazuje się, że dróżka jest tuż, tuż między dwoma bajecznie kolorowymi skałami.

2.

Jakże inny tu świat. Gdzieś tam w dole, około godziny jazdy na południe, leży warko życie największego miasta Iranu, a tu cisza, spokój i słońce. Idziemy pod górę. Dróżka biegnie skrajem głębokiego na kilka metrów jaru. Na lewo mamy pustynne zbocza gór. Na prawo, w jarze, zieleni i woda, jest to ten sam strumień, który widziałem koło „murawańca”.

Dwa światy. Na lewo pustynne góry, spalone, ze śladami płynących szybko górskich strumieni. Gdzieś w szalkach ziemi, mimo upału i suszy, trawa przyczajona roślinność. Gdzieś wysoko na brunatnym stoku, u brzegu wyschniętego o tej porze górskiego strumienia, samotnie stoi drzewo. Zieleni jego przysypana, jakby ledwie żyjąca, a jednak nie poddająca się.

Na prawo w jarze zieleni soczysta, bujna, dająca ochłodę i owoc. Są tu granaty, śliwki, jabłka, winogrona. Ale jest tu też wyraźnie widoczna granica między tym bujnie rozwijającym się życiem, a wychłnietą martwą ziemią. Idziemy skrajem jaru i widzimy dokładnie, gdzie kończy się wilgotność i gdzie żywna ziemia zamienia się w pył i piopół.

A. T. Olmstead w książce „Dzieje imperium perskiego” tak opisuje naturalne warunki panujące od wieków na Wyżynie Irańskiej:

„Przez większą część roku na bezchmurnym niebie grało słońce. W wreszcie powietrze robiło się nieco chłodniejsze; w listopadzie noce były nieprzyjemnie zimne. Po deszczach jesienią przychodziły mgły i śniegi, a srogi zamiecie spływały z gór coraz to niżej i niżej, aż w końcu dosięgały równiny. W południe słońce, jeśli nie pokazywało, grało mocno, co pozwalało odciąć ofiarom nocnych mrozów. W styczniu przelecie były zaspane, a pokryte śniegiem wale odleciały od światła na całą zimę. Na wiosnę śnieg topniał niemal nagle. Wody spływały po nachalych zboczach niszcząc szlaki i znów odcinałac dostę do wsi. Łożyka strumieni wypełniała szumiała cała; każda cenna kropla zabierała kanały irygacyjne, aż do chwili gdy tożyska znów wysychały. Potem szukano wody na pozornie suchych wzgórzach; aby na skutek parowania nie tracić cennej cieczy, trzeba ją było wprowadzać pod ziemię do kanałów. W ten sposób kosztem olbrzymiego nakładu czasu i pracy zdobyto pod uprawę jeszcze trochę kilometrów kwadratowych dawnej pustyni.”

Iran jest krajem suchym. Na północnych zboczach gór Elbrus, nad wybrzeżem Morza Kaspijskiego panuje klimat na pół tropikalny. Tutaj średnia opadów w roku wynosi 1525 milimetrów. Po stronie południowej, tam gdzie trochę chmur z północy może się przedostać przez przełęcz w okolicy Rasht i Qazvin, średnia opadów wynosi około 200 milimetrów. W Isfahanie natomiast, położonym w zachodniej części Wyżyny Irańskiej — średnia opadów wynosi już tylko około 100 milimetrów. W rejonach pustynnych — około 50 milimetrów. Ile wynosi średnia opadów na pustyniach Deszt — e Kawir i Deszt — e Lut? Tego nikt dokładnie nie wie. Jest to bowiem obszar dwa razy większy od Belgii. Widziałem zaledwie skrawek wsi, łożyska strumieni wypełnia szumiała cała; każda cenna kropla zabierała kanały irygacyjne, aż do chwili gdy tożyska znów wysychały. Potem szukano wody na pozornie suchych wzgórzach; aby na skutek parowania nie tracić cennej cieczy, trzeba ją było wprowadzać pod ziemię do kanałów. W ten sposób kosztem olbrzymiego nakładu czasu i pracy zdobyto pod uprawę jeszcze trochę kilometrów kwadratowych dawnej pustyni.”

Iran jest krajem suchym. Na północnych zboczach gór Elbrus, nad wybrzeżem Morza Kaspijskiego panuje klimat na pół tropikalny. Tutaj średnia opadów w roku wynosi 1525 milimetrów. Po stronie południowej, tam gdzie trochę chmur z północy może się przedostać przez przełęcz w okolicy Rasht i Qazvin, średnia opadów wynosi około 200 milimetrów. W Isfahanie natomiast, położonym w zachodniej części Wyżyny Irańskiej — średnia opadów wynosi już tylko około 100 milimetrów. W rejonach pustynnych — około 50 milimetrów. Ile wynosi średnia opadów na pustyniach Deszt — e Kawir i Deszt — e Lut? Tego nikt dokładnie nie wie. Jest to bowiem obszar dwa razy większy od Belgii. Widziałem zaledwie skrawek wsi, łożyska strumieni wypełnia szumiała cała; każda cenna kropla zabierała kanały irygacyjne, aż do chwili gdy tożyska znów wysychały. Potem szukano wody na pozornie suchych wzgórzach; aby na skutek parowania nie tracić cennej cieczy, trzeba ją było wprowadzać pod ziemię do kanałów. W ten sposób kosztem olbrzymiego nakładu czasu i pracy zdobyto pod uprawę jeszcze trochę kilometrów kwadratowych dawnej pustyni.”

Według perskich podań właśnie na pustyni Deszt — e Lut była Sodoma i Gomora, która ogniem i siarką potrakowała zaginiony Bóg. Tu stał też słup soli, w którym Bóg zamienił żonę Lot, a święty Ireneusz przekonywał swoich współczesnych, że słupek ten przez długie lata cierpiał jeszcze na okresowe przypadłości, na jakie cierpi każda kobieta.

Większa część pustynnego obszaru to równinne, płaskie tereny nasycone solą. Są tu też wielkie i małe słone jeziora, całkowicie pozbawione życia.

Wiosną i jesienią z gór okalających pustynię spływają potoki wody. Płyną pustynne rzeki, które źródła swoje mają w górach, ale nigdzie nie mają ujścia, giną w wysuszonej na popiół ziemi. Widziałem ślady takich rzek, jadąc samochodem z Teheranu do Isfahanu. Widok to fascynujący. Most stoi nad wyschniętym korytem rzeki, a w tym korycie widać jak rwące potoki ukształtowały dno, jak ułożyły piasek. Sprawia to takie wrażenie, jakby ktoś nagle wypompował wodę z rzeki i pozostawił jej dno nienaruszone. Ale w tych rzekach nie ma żadnej wodnej roślinności, żadnego śladu życia.

4.

Coraz wyżej i wyżej idziemy skrajem pełnego zieleni jaru. Wreszcie droga przecina jar w poprzek. Wchodzimy w jego ożywczy chłód, mijamy potok i przechodzimy na drugą stronę. Mam teraz okazję, aby przyjrzeć się uważnie systemowi jakże prymitywnemu, a jakże jednocześnie skutecznemu nawadniania. Zbudowane z kamieni są jary podnoszą poziom wody, kierując ją do różnych drobnych i zawilżonych kanałków. Dzieje się tu coś, co w pierwszej chwili uraga wszelkim prawom fizyki. Woda zdaje się płynąć pod górę, wdrapuje się po stokach jaru i nawadnia jego najwyższe położone rejony.

Znów wychodzimy na spieczone słońcem zbocza gór, znów wchodzimy w jar, aby po krótkiej chwili wyjść na pełną pyłu, suchą ścieżkę. Zbliżamy się do wsi. Mijamy kilka osiołków obuczonych bęgiem. Jar nagle się rozszerza, zbocza jego są bardziej łagodne, pocięte małutkimi tarasami, zaszadzonymi różnymi roślinkami. To większe pola.

Właśnie jakiś uśmiechnięty i radośnie coś wykrzykujący irański góral pędzi osła prosto na spalony słońcem stok. Chętnie pozuje nam do zdjęcia. Wracając, spotkamy go ponownie. Pozdrowi nas, a jego osiołek będzie ponad siły niemal obuczony ziemią. Z tej bardzo żyznej ziemi powstanie kolejne małe poletko, do którego dotrze woda i która da upartemu góralowi tak potrzebne mu plody.

Godna podziwu i uznania jest ta uparta, trwająca od wieków, walka człowieka z jakże mu nieprzychylną naturą. Człowiek uczył się pustynnych zboczy, zmusił wodę do użyźniania ziemi i trwa w tym nieustannym zmaganiu się z naturą, która najchętniej zamieniłaby go w kępę popiołu. Trwa tak od wieków. Trwa mimo tego, że górami Elbrus wstrząsają podziemne siły, zawalają drogi, odcinają wsie od świata, a czyhające na ludzi choroby zbierają wówczas bogate żniwo. Tak było między innymi podczas ostatniego wielkiego trzęsienia ziemi 1 września 1962 roku, kiedy to zginęło około 15 tys. ludzi.

Przykładem tego ludzkiego uporu w walce z niesprzyjającą przyrodą jest wieś, do której wreszcie docieramy. Leży ponad 2 tys. metrów nad poziomem morza. Domy niewielkie. Uliczki wąskie. Na miniaturowym placu w centrum wioski miejscowy blacharz rozłożył swój warsztat i pracownicy wykłepują miedziany dzbanek. Zyciodajny potok spełnia tu jeszcze dodatkową rolę. Płynąc w pobliżu ludzkich siedzib, a niekiedy i pod nimi daje naturalną ochłodę. Zaglądamy do niewielkiej osłej stajenki, gdzie przednie pachnie zebrane na zimę siano. Trafiamy wreszcie pod szkołę, której tu kilka lat temu jeszcze nie było. Ale szkoła jest pusta, są wakacje. Mijamy więc, droga pnie się pod górę.

— Gdybyśmy poszli jeszcze kilka kilometrów dalej — mówi nasz przewodnik — to trafimy na następną taką wieś. I dalej na następną. Tak jest nad każdym potokiem, który tu płynie w tych pozornie bezludnych górach. Ale czas wracać.

5.

W skarbcu Markazi Bank oglądałem cesarskie klejnoty, korony rodziny Pahlavi oraz ogromne ilości bogactwa, jakie tu się dało zgromadzić. W poszczególnej gablotce można tam zobaczyć między innymi globus zrobiony ze złota i drogich kamieni, szablę wysadzane diamentami, perłami, turkusami, szafirami. Leżą za pancernym szkłem zegarki misternie wmontowane w owady ze złota i drogich kamieni, przepiękne ozdoby, o których wartości decyduje nie tylko kruszec i szlachetne kamienie, ale mistrzowska robota dawnych rzemieślników. Widziałem półmiski pereł wielkości fasoli i nieprzeliczone ilości drobnych perełek, które lówi się przecieć w wodach Zatoki Perskiej. Widziałem tace drogich kamieni, a wśród nich słynny diament Dariaje Nur (Moraże Światła) wielkości małej diony, który w czasie koronacji Mohammada Rezy Pahlavi i jego małżonki Farah był ozdobą jej stroju.

Nie każdy trafia jednak do skarbcza Markazi Bank i dlatego wielu turystom musi wystarczyć wschodni przepych bazarów, gdzie w kramach złotników można do woli napatrzeć się na rezultaty ich masowej produkcji. Złoty łańcuszek, pierścionek, broszek, obrączek, bransolet i innych ozdóbek pełno. Przebierać i wybierać. Bardziej wybredni mogą udać się do sklepów jubilerskich, aby poszukać

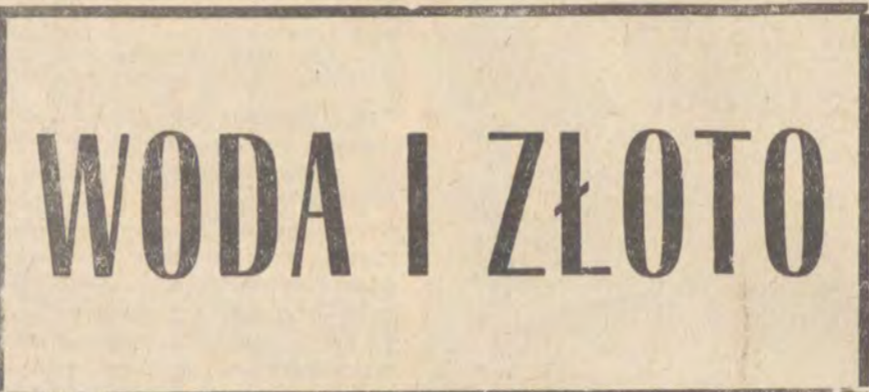
czegoś mniej popularnego, a bardziej oryginalnego. Dla tych którzy mają dużo pieniędzy są eleganckie salony jubilerskie. Drogie i ładne rzeczy można też znaleźć w sklepach sprzedających wyroby rzemieślnicze.

Uważny obserwator dostrzeże też wiele złota na rękach i szyjach irańskich kobiet. Sam widziałem kobiety, które miały na ręku po kilkanaście złotych kolczyków, a całe palce w pierścionkach. Myłoby się jednak ten, kto sądziłby, że był to dowód wielkiej zamożności. Niektóre irańskie kobiety, przeważnie starsze, żyją pod nieustanną groźbą wypedzenia przez męża, a wtedy nie wolno im niczego zabrać ze sobą, chyba że inaczej stanowi umowa zawarta przed ślubem. Dlatego też wola one mieć przy sobie lub na sobie to wszystko, co do nich należy.

Mogłoby się wydawać, że najcenniejszą rzeczą w Iranie jest złoto, chociaż z gospodarczego punktu widzenia bogactwem Iranu jest niewątpliwie nafta. Iran posiada też inne bogactwa naturalne: węgiel kamienny, rudy antymonu, chromu, niklu, żelaza, miedzi, ołowiu i manganu. Posiada też siarkę. Wydobywa się tu turkusy. I — jak już wspominałem — w wodach Zatoki Perskiej lówi się perły. Ale mimo tych bogactw nadzwyczajną wartość posiada w o d a.

6.

Obszar Iranu wynosi 1 648 tys. kilometrów kwadratowych. Zamieszkuje go 33 miliony ludności. Jest więc Iran krajem pięciokrotnie większym od Polski z taką samą ludnością. W miastach mieszka 45 procent Irańczyków, na wsi — 55 procent. Ale więcej niż połowa Irańczyków mieszka i pracuje zaledwie na około 10 procentach ob-



szaru swego kraju. Przy czym jedną czwartą część obszaru zdanego pod uprawy rolne trzeba sztucznie nawadniać. Gdyby więc w Iranie było więcej wody, wtedy i obszar rolnych upraw byłby znacznie większy. Ziemia tu jest bowiem bardzo żyzna, brakuje właśnie w o d y.

W Iranie uprawia się pszenicę, buraki, jęczmień, przeznaczając na ten cel około 40 procent terenów rolniczych. Uprawia się też bawełnę, tytoń, herbatę, ryż, winogrona, rośliny strączkowe. W sadach zbiera się jabłka, granaty, na południu daktyle, oliwki, owoce cytrusowe.

Gdybym miał jednak odpowiedzieć na pytanie, czy Iran jest krajem rolniczym, czy przemysłowym — miałbym z tym poważne klopoty. W Iranie bowiem jest 9,4 miliona ludzi pracujących. Z tego w rolnictwie — 40 procent. Sądząc więc po ilości ludzi mieszających i pracujących na wsi można powiedzieć, że Iran jest krajem rolniczym. Tym bardziej że w latach 1967 — 1968 irańskie rolnictwo dało 24,5 procenta wartości całej produkcji krajowej.

Ale już w latach 1972 — 1973 proporcje nieco się zmieniły i Irańscy rolnicy dali 18,1 procent wartości całej produkcji krajowej. A w planie na lata 1977 — 1978 założono, że rolnictwo da tylko 8 procent wartości tej produkcji. Rośnie bowiem dochód narodowy otrzymywany z wydobycia nafty.

Irańczycy bardzo nie lubią, kiedy o ich kraju mówi się, że jest krajem rozwijającym się. A przecież trudno temu zaprzeczyć. Zresztą sam cesarz w wywiadzie dla „US NEWS WORLD REPORTER” w marcu 1976 roku powiedział:

„W ciągu 12 — 13 lat zbudujemy podstawową infrastrukturę w każdej dziedzinie. Od tego momentu będziemy nadal kierować się taką samą polityką, stosując rozmach w budowie potęgi gospodarczej, przemysłowej i ludzkiej naszego kraju. Być może do tego czasu skończą się nasze zasoby ropy naftowej, chociaż mam nadzieję, że w ciągu dziesięciu lat będziemy racjonalnie je wykorzystywać. Jednocześnie w tym samym czasie pożyjemy duży nacisk na rozwój energii atomowej i słonecznej. Nie powinniśmy dopuścić do powstania problemów ekologicznych, związanych z postępow. Nasz kraj jest rozległy, mamy niezamieszkałe tereny i zamieszczanie środowiska nie powinno być dla nas poważnym problemem. Będziemy starali się wykorzystywać inne surowce energetyczne i oszczędzać ropę dla celów petrochemicznych. Mamy również ogromne zasoby gazu ziemnego.”

Jest więc to program wszechstronnego rozwoju. Rolnictwa również. Ale aby irańskie rolnictwo uczynić nowoczesnym potrzeba w o d y, maszyn i kwalifikacji. Trzeba przełamać konserwatywne nawyki irańskich rolni-

ków, stworzyć takie warunki, aby rolnicy widzieli korzyść w inwestowaniu, aby mogli organizować produkcję na rynek, a nie tylko na swoje potrzeby. No i trzeba również rozbudować przemysł, który byłby zdolny przetworzyć część rolniczych produktów. W tym celu między innymi rozwija się w Iranie przemysł cukrowniczy, choć nikt nie ukrywa, że powodem pierwszym jest po prostu brak cukru.

7.

W 1960 roku parlament irański uchwalił pierwszą w dziejach tego kraju reformę rolną. Pozwalała ona obszarnikom zatrzymać dla siebie do 400 ha ziemi nawadnianej i do 800 ha ziemi nie nawadnianej. Resztę powinni byli wykupić chłopci. Reforma ta nie znalazła oczywiście aprobaty u irańskiej arystokracji.

W 1962 roku wprowadzono modyfikację. Spłaty rozłożono na 25 lat, z tym, że chłopcy swój dług wobec obszarników płacili do banku, który znów obszarnikom dawał 10 procent należności w gotówce, a resztę w akcjach przedsiębiorstw przemysłowych. Tych przedsiębiorstw nie było znów tak wiele, więc dawano akcje przedsiębiorstw dopiero budujących się lub mających się budować. To też nie wywołało zbytniego zadowolenia u arystokracji.

Mohammad Reza Pahlavi, chcąc świecić dobrym przykładem pierwszy rozparcelował swoje posiadłości. W styczniu 1963 roku wystąpił z programem „białej rewolucji”, którą dziś nazywa się też „rewolucją cesarza i narodu”. Jednym z założeń „białej rewolucji” była reforma rolna. Chodziło tu już o jej zakończenie. W 1963 roku stworzono obszarnikom również mo-

żliwość wydzierżawiania na 30 lat nadwyżek ich ziemi.

W wyniku reformy rolnej rozparcelowano przeszło 10 tys. wsi, a w przeszło 23 tys. wsi wydzierżawiono chłopcom ziemię. 350 tys. chłopskich rodzin otrzymało ziemię na własność. Reforma rolna rozbiła też anachroniczną strukturę irańskiej wsi, zdecydowanie osłabiła irańską arystokrację. Chłop wprowadził zapłacił za swoją ziemię, kupił ją, ale wie, że tę transakcję zawiadzcza cesarzowi i jest mu za to bardzo wdzięczny.

Zrobiony został pierwszy krok na drodze do unowocześnienia wsi. Chłop dzięki reformie został zainteresowany pracą na roli. Ale rolnictwo irańskie było i jest jeszcze rolnictwem zacofanym, prymitywnym, mało wydajnym. Przy czym trzeba pamiętać, że jest to rolnictwo niebawle zróżnicowane i inaczej wyglądające na północy kraju, inaczej w górach, inaczej w krańcach Wyżyny Irańskiej, a jeszcze inaczej na południu kraju. Poza tym w Iranie są jeszcze kocowalnice, którzy spokojnie mogą poruszać się po ziemi nieszczęśliwie, szukając paszy dla swoich trzód.

Program „białej rewolucji”, albo „rewolucji szacha i narodu” był nieustannie uzupełniany. Rozszerzano założenia reform gospodarczych, politycznych i społecznych. Pierwotnie na przykład „biała rewolucja” zakładała powołanie tylko Korpusu Oświaty.

Do tego korpusu powoływani byli maturzyści i studenci na zasadach służby wojskowej. Po odpowiednim przetrześciu kierownikami byli do pracy oświatowej na wsi. Pracował tam dwa lata, uczył dzieci i dorosłych, a jednocześnie organizował wiele prac, które nazwalibyśmy u nas pracami społecznymi; iniełowali budowanie dróg, mostów, wiejskich łaźni, sadzenie drzew, oczyszczanie kanałów nawadniających itp.

W 1964 roku — na wzór Korpusu Oświaty — nowołano Korpus Zdrowia, a w 1965 podobny Korpus Rozwoju. Do 1973 roku w korpusie tym służyło 21,5 tys. członków. Do 1971 roku zorganizowali oni 63 914 kursów dla chłopów, na 18 685 ha założyli fermy eksperymentalne, zorganizowali nawadnianie 119 243 ha suchej do tej pory ziemi oraz zorganizowali oczyszczanie od polnych wyszły około 70 tys. ha, przyczynili się do zainstalowania w tysiącu wsi urzędów wodociągowych, założyli 613 spółdzielni i pomogli w budowie 20 tys. wiejskich szkół.

Korpusy: Oświaty, Zdrowia i Rozwoju spełniają razem niezwykle pożyteczną rolę, przyczyniając się do podnoszenia poziomu wiedzy społeczeństwa irańskiej wsi. A trzeba pamiętać, że mimo tych wysiłków jest jeszcze w Iranie około 60 procent analfabotów. Działalność tych korpusów spełnia drugi warunek, jaki jest niezbędny w unowocześnianiu irańskiej wsi, przyczynia się do przełamania konserwatywnych nawyków. Trzeba sobie jednak zdawać sprawę z tego, że jest to wysiłek bardzo trudny i wy-

maga on długich lat uporczywego działania.

Drugim warunkiem jest mechanizacja. Wiąże się to ściśle z pierwszym, gdyż maszynami rolniczymi trzeba umieć się posługiwać i mieć do tego właściwe warunki. Można więc w Iranie spotkać nowoczesne metody uprawy ziemi obok bardzo prymitywnych. W czasie naszej wycieczki w góry obserwowaliśmy upartą walkę człowieka z jakże nieprzychylną mu przyrodą, widzieliśmy jak z uporem rozszerzał niewielki areal uprawnej ziemi. A po drugiej stronie gór Elbrus, w nadkaspjskich rejonach Iranu polscy lotnicy z Mielca walczyli na helikopterach ze szkodnikami. Te helikoptery użyto też do siania traw na zboczach gór Kurdystanu i Sanandaj, a ostatnio — do nawożenia gleb. Buduje się w Iranie fabryki maszyn rolniczych i traktorów. Fabrykę traktorów zbudowano przy pomocy i współpracy specjalistów rumuńskich.

8.

I wreszcie warunek trzeci — w o d a.

Woda daje życie, ale woda też może być bardzo groźnym wrogiem rolnika. W Iranie byłym w sierpniu 1976 roku i — jak mnie informowano wówczas — tego roku od czerwca w rejonie Teheranu nie spada kropla deszczu. Trzeba więc roślinom na polach dostarczyć wodę. Służy temu system nawadniania. Ale może się też tak zdarzyć, że mimo wszystko zgramadzą się nagle na niebie chmury deszczowe i wtedy wraz z wodą spływają z gór potoki błota. Opowiadano mi, że gdy taki potok błota zaleje pole buraczane, to jego właściciel może tylko płakać. Burza przechodzi szybko, ulewa przemija, a pole buraczane pokryte jest grubą warstwą błota. Słońce znów grzeje, błoto paruje i zamienia się w twardą skorupę, którą i kilofem trudno rozbić. Rośliny dostały tak im potrzebną wodę, więc starają się rozbić naniesiony muł i wyjść na powietrze, ale im się to z reguły nie udaje. Podobno, kiedy wreszcie uda się rozbić błotnistą, wysuszoną na beton skorupę, to czasem można zobaczyć jak rośliny uparcie walczyły o swoje życie.

A woda jest w górach. Gromadzi się tam, we wnętrzu gór, z topniejącego śniegu i nie parując tak szybko, spływa podziemnymi kanałami w doliny i ginie we wnętrzu ziemi. Wierci się więc studnie, pompuje się wodę i kanałami rozprowadza po polach. Jest to bardzo drogi sposób i mogą nań pozwolić sobie tylko bogate gospodarstwa. Ale w Iranie wody brakuje od stuleci, więc też i od stuleci funkcjonuje system nawadniania zwany Qanat. Podziemnymi kanałami, nieraz ciągnącymi się i po 70 kilometrów, doprowadza się z gór lub z innych zbiorników, wodę na pola. W niektórych rejonach system ten funkcjonuje od setek lat. Istnieje również system nawadniania odkrytymi kanałami.

Wodę z gór czerpie na przykład Teheran i Isfahan. W Isfahanie plem z ulicznych źródeł niezwykle smaczna i zimna woda. Można ją pić bez obawy, że żyła w niej różne wredne mikroby, które powodują później tropikalne i temu podobne choroby. Mieszkańcy kilkadziesiąt kilometrów za Isfahanem polscy specjaliści piją herbatę tylko z isfahskiej wody, jako że mieszka tam jest bardzo słona. Wodę przywożą sobie w karnistrach z Isfahanu. I bardzo sobie ją chwali.

Firouz Vakil — wysoki urzędnik cesarskiego urzędu zajmującego się nianem gospodarczym i budżetem Iranu — bardzo obrazowo wyjaśnił mi problem wody. Narysował górę, jej zbocze i wieś w dolinie. Wszystko bardzo schematycznie oczywiście. Następnie narysował wodę we wnętrzu góry i kanały, którymi niekontrolowana spływała sobie do wnętrza ziemi.

— Teraz — powiedział Firouz Vakil — trzeba te kanały zablokować, zrobić nowe kanały podziemne, którym woda popłynie na pola uprawne.

Łatwo to narysować i łatwo to powiedzieć. Dużo trudniej zrobić. Ale zrobić trzeba. Tworzy się więc wielkie kompleksy rolniczo-przemysłowe — zarówno państwowe jak i prywatne — które stać będzie na kosztowne rozwiązania irygacyjne. Na rzekach buduje się tamy, które dzięki spiętrzeniu wody nawadniają pustynię, a jednocześnie woda skierowana w odpowiednie upusty porusza turbiny elektryczne. Takich tam zbudowano 12.

Jedną z nich zbudowano na rzece Aras, będącej granicą ze Związkiem Radzieckim. W irańskim Azarbejdżanie zbudowano kilka tam. Tamże Shahpour na rzece Mahabad i tame Cyrusa Wielkiego na rzece Zardinehrud. Zbudowano też tame Shah Abbas na rzece Zayandeh Rud, przepływającej przez Isfahan, ale to już jest w innej części Iranu. Planuje się budowę dalszych tam.

Tradycyjny system nawadniania, budowanie nowych kanałów, którymi doprowadza się, lub będzie się doprowadzało, wodę na pola, a także wspomaganie systemu irygacyjnego przez wody ze zbiorników sztucznie robionych na rzekach ma w rezultacie stworzyć warunki dogodniejszego rozwoju irańskiego rolnictwa, dla którego poza kwalifikacjami rolników, sprzętem i nowoczesnymi metodami największym problemem jest w o d a.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



# SPOTKAŁEM SZCZĘŚLIWEGO SZWEDA



Dalszy ciąg ze str. 1

## W AUTOBUSIE

Powracaliśmy z centrum Sztokholmu do dzielnicy Tyreno, oddalanej od niego mniej więcej o dziesięć kilometrów. Była niedziela, godzina piętnasta. Upał sięgał trzydziestu stopni. W autobusie był tłok. Na trzecim przystanku wsiadło trzech wyrostków, liczących nie więcej niż szesnaście lat. Byli kompletnie pijani, butelki whisky wystawały im z kieszeni kurtek. Przepychając się zajęli miejsca w tylu autobusów. I wtedy się zaczęło. Najpierw zaczęli dziewczyny siedzące z przodu. Szarpając ich ubranie wyciągnęli jedną torbę i zabawiali się, przez dłuższy czas nie chcąc jej oddać. Hysterycznie chichocząc rzucali ją sobie z rąk do rąk. Potem zaczęli krzyczeć pojedyncze słowa, których znaczenia nie rozumiałem, coraz głośniej, i głośniej, wyraźnie prowokując pasażerów cały czas usiłujących nie widzieć. W końcu jeden z nich wyjął z ust gumę do żucia i przykleił na szybie. Pluli więc teraz na szybę, usiłując trafić w przyklejoną gumę. Nikt nie drgnął. Kierowca, widzący wszystko w lusterku, spokojnym głosem zapowiadał kolejne przystanki. Autobus powoli zmierzał do celu.

## SPOKÓJ

Kiedy po raz pierwszy się tam znalazłem, stał spokojnie, oparty o swój kij golfowy i patrzył w to miejsce, gdzie kończyła się wyspa i fale monotonnie uderzały o skalisty brzeg. Kiedy mnie zobaczył, a nie widzieliśmy się nigdy przedtem, uśmiechnął się, podszedł bliżej i powiedział: „Niech pan popatrzy!” W odległości

szczych odpustach, powstało jedyne w swoim rodzaju dzieło sztuki — jego posiadłość. Więc najpierw długi podjazd, zwirowa aleja zatopiona w jabłoniach i stojące po bokach rzeźby młodych chłopców i dziewcząt, smukłych i pięknych, grających na fletach, skrzypcach, a także w miłosnych uściskach, zapatrzonych tylko w siebie, nie widzących niczego dookoła. Potem duży biały dom w stylu włosko-hiszpańskiego renesansu i cztery małe domki dla przyjaciół, kiedy przyjeżdżają go odwiedzać. Całe z drzewa, jak gdyby żywcem wyjęte z jakiegoś zapomnianego skansenu. Na tyłach — pracownia. Biała, mała, grecka świątynia, obwieszona w środku jego obrazami. A tam, gdzie zwykle stoi posąg bóstwa, na ołtarzu, kopia rzeźby Rodina. Młody chłopiec oparty o drzewo. Pod nim klejzniki, na których leży Biblia, i stary klawesyn ze świecznikami po bokach. Na ziemi puszyste skóry i sofa, na której można poczytać lub zdrzemnąć się po pracy. Łaził po wszystkim na wpół zdzieciałoty kot, pomrukując i ocierając się o sprzęty. A wszystko to nie razi swoim eklektyzmem, a wręcz odwrotnie, zadziwia wyobraźnię, urzeka liryzmem i odrobiną smutku.

## BOCZNE ULICE

Ta ulica nazywa się Kungsgatan i jest główną ulicą w Sztokholmie, ale nie o niej będziemy mówić. Ważne są te trzy, cztery odlegające od niej i potem jeszcze dwie, które się z nimi krzyżują. Domy są tu małe, prawie jednopiętrowe, uliczki wąskie. Reklamowe szyldy głoszą: „PORNO SHOP”, „SEXO RAMA”, „PORNO FILM”. Jest tu wszystko, co do tej pory wymyślił człowiek w tej dziedzinie. Godzina jest już późna, znacznie po dwudziestej trzeciej, i właśnie wtedy zaczyna się ruch. Turyści już dawno stąd odpłynęli, ale przybyli ci, którzy, albo z tego żyją, albo chcą się dzisiaj zabawić. Widzi się tutaj twarze, których długo potem nie można zapomnieć. Wypudrowani mężczyźni, z koleczkami w uszach i damskimi fatalazkami na sobie. prostytutki obojętne na wszystko i agresywne, gdy policyjny patrol skręci za róg ulicy. Ich opiekunowie kręcą się wszędzie, spokojni i czujni, gotowi w każdym momencie przyjąć z pomocą swoim dziewczynom.

Stoję oparty o wystawę lokalu, w którym podają młode kelnerki ubrane tylko w króciutkie spódniczki. W drzwiach cerber przypominający zapasnik patrzy się na mnie społe łba. Nagle podchodzi do mnie młody chłopak w wojskowej, amerykańskiej kurtce, z włosami opadającymi na ramiona. Pyta, czy nie mam „trawy”. Nie mam. Odchodzi z przeproszającym uśmiechem. Za chwilę podchodzi inny facet; ma strupy na twarzy i cuchnie wódką. Prosi o papierosa. Wyciągam paczkę i częstuję go. Wkłada wtedy rękę do kieszeni, wygrzebuje dwadzieścia pięć óre i podaje mi. Nie chcę przyjąć tych pieniędzy. Patrzy mi przez chwilę prosto w oczy, z uczuciem nienawiści, po czym rzuca monetą na bruk, spłuwając przed moimi nogami i odchodzi.

## TEN SZCZĘŚLIWY SZWED

Rozmawiałem o nim z innymi. Mówili, że kocha spokój, przyjaciół, swoją pracę. Podobno na początku prowadził sklep, za nim jeszcze umarła mu żona. Nie chodził do żadnej szkoły plastycznej. Nikt, z kim rozmawiałem, nie wiedział, jaki był kiedyś. Teraz, zawsze wesoły. Pomimo sędziwego wieku, potrafił się cieszyć i żartować jak dziecko. Zawsze był życzliwy dla wszystkich. Wyraźnie tolerowali jego inność, ba, zapraszali go na chrzciny, wesela, pogrzeby. Był z nich i wśród nich. Tu się urodził i nigdy stąd nie wyjeżdżał. Gardził wystawami, udziałem w wykładach i poklaskiem. Swych obrazów nie sprzedawał. Czasami dawał je tylko przyjaciołom, lub pobliskim domom starców i zakładom psychiatrycznym. Żył z datków, które turyści zostawiali zwiedzając jego posiadłość. Jedno było pewne, wyspa wyraźnie się nim szczyliła. Nikt jednak nie podejmował się żyć tak, jak on. Było to nie ukrywane uczucie zazdrości o rzecz, którą można by było posiadać, ale która jest zbyt dużym luksusem, aby za nią płacić.

## WATERLOO

Jestem w jednym z największych sklepów młodzieżowych w Sztokholmie. Moda retro czyni tu cuda. W tym sklepie, o nazwie Waterloo, można kupić wszystko, czym żyje młodzież. Są wojskowe kurtki żołnierzy amerykańskich z Wietnamu i Kambodży, bagnetki komandosów, manierki, hełmy, dzinsy we wszystkich rozmiarach i fasonach, wreszcie płyty i plakaty. Sklep przypomina kowbojski saloon bar: siodła, końskie uzdy, ostrogi, stare, barowe kasy. Ekspedientki — młode dziewczyny ubrane w skórzane kurtki i spódniczki z frędzlami. Nad tym wszystkim u stropu wszechobecne oko kamery wylapujące tych wszystkich, którym przyszlaby ochota na kradzież. Te same towary można by kupić w innym sklepie za pół ceny, tu płaci się dodatkowo za atmosferę.

Wchodzę do przymierzalni oklejonej plakatami reklamowymi. Współczesna reklama przestaje być jednoznacznie natrączywa. Zaczyna apelować do naszej wrażliwości, poczucia estetyki, zaczyna być liryczna, poetycka lub wręcz odwrotnie, polityczna, kontestacyjna. Jak choćby ten plakat, na który pa-

trzę. Przedstawia on ludzką dłoń, dwa rozszerzone palce w kształt litery V. Jeden z nich oklejony plastrami. Kiedyś symbol kontestacji, dziś tylko rekwizyt służący reklamie plastrów na odciski i skaleczenia. Z boku plakat reklamujący lewisy. Młody chłopak z dzieckiem na ręce. Dziecko się śmieje i wyciąga rączki, chłopak trzyma je wysoko nad głową. Pełne szczęście i jasna przyszłość. Tylko metka na spodniach młodzieńca przypomina o reklamowym charakterze obrazka. I jeszcze młoda para; objęci ramionami, w podartych dzinsowych spodniach i kurtkach. Trzymają w rękach całą masę paczek i paczuszek. Podpis głosi: „W sklepach konsumu kupisz wszystko”.

Długo wpatruję się w te plakaty, na których z romantyzmu, buntu, niepodległości robi się dziś tylko pieniądź. Jakże to smutne, przecież jeszcze tak niedawno Europa Zachodnia panicznie bała się tych strojów, tych symboli, tych młodych ludzi. Teraz jest to już tylko moda retro. Nagle czuję na sobie czyjś wzrok. Odwracam głowę i widzę ekspedientkę, która patrzy na mnie podejrzliwie. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że stoję pośrodku przymierzalni, nie mając w ręku nic, co można by przymierzyć.

## ZNÓW TEN SZWED

Tamtego wieczoru przyszedłem się z nim pożegnać. Zaprowadził mnie do pracowni i obserwował bacznie, jak reaguję na każde piótno. Pochody młodych par, młodzieńców w cylindrach i frakach, dziewcząt w powiewnych, białych sukniach, kochankowie w lesie i grający na instrumentach, rumaki pędzące po bezdrożach, cyrkowi kłowni i woltyżerki, barwne korowody wieśniaków. Liryzm i radość życia. Smutek przemijania i usilny wysiłek, aby ocalić te okrucy szczęścia — młodości. Uczynić je wiecznymi choćby tylko na piótnach.

Usiadł potem do klawesynu i zaczął grać. Patrzyłem na niego. Kiedy grał wydawało się, jak gdyby odpłynął do świata swoich piótn. Mrużył oczy, uśmiechał się. Była to muzyka religijna. Już wcześniej dowiedziałem się, że jest głęboko wierzącym protestantem, spędzającym wiele godzin dziennie na medytacjach. Był w nim jakiś urzekający spokój — wewnętrzna harmonia. Pogodzenie ze światem i ze sobą.

Na moje pytania odpowiadał zwykle bardzo powściągliwie. Patrzył na mnie uśmiechał się, jak gdyby chciał powiedzieć — „Pańskie pytania więcej mi mówią o panu niż moje odpowiedzi powiedziałyby o mnie”. Ale tego wieczora coś pękło. Był jeszcze bardziej małowówny niż zwykle. Nagle przerwał grę, określił się na krześle w moją stronę i długo mi się przyglądał.

— Nie uważa pan, że większość ludzi nie ma czasu zająć się własnym życiem? Pan na przykład od kilku dni zadaje mi różne pytania. Czy pyta pan

jeszcze o coś samego siebie? Nie innych ludzi, ale siebie? Niech mi pan powie, jak dawno ostatni raz płakał pan z miłości... Mileży pan. A trzeba się o to przecież pytać, by wszystko nie straciło sensu. Powiedział pan, że ten profesor nazywał się Sonnenbruch — być może ma pan rację, że jestem do niego podobny, ale nikt nie wie ile to kosztuje, żeby być sobie wiernym, żeby nie zdeprawować tego, co się robi. Tak, Kocham tę wyspę, i ludzi, którzy na niej żyją. Spędziłem tu całe życie. Codziennie przyglądałem im się przez tyle lat, jak się rodzą, jak umierają, jak się szarpia z sobą i światem, jak kochają... Potem staram się to przenieść na piótno, ocalić dla mnie i dla kilku przyjaciół, którzy rozumieją to, co robię. Zbudowałem sobie mój świat, bym wymyślił i być może pod kłosem, ale mój i pozostałem mu wierny. A przecież każdy człowiek ma prawo zrobić z życiem, co mu się podoba.

A teraz proszę już o nic nie pytać. I proszę tu jeszcze kiedyś przyjechać, już bez tego notesu.

## NA SZOSIE

Wyszedłem na szosę przed posiadłością i zapaliłem papierosa. Odwróciłem się do tyłu i obserwowałem dom, z którego wyszedłem. Zapalił się tam już pierwsze światła. Myślałem o nim. Była ciepła, letnia noc. Wokół pracowały świerszcze i nie chciało mi się nigdzie ruszyć. Cisza, spokój, tylko gwiazdy nad głową i szum fal uderzających o brzeg.

Nagle usłyszałem odgłos motorów, który ciągle narastał, aż zmienił się w przeraźliwy łoskot. Najpierw przeleciały obok trzy hony, potem jeszcze dwie i dwa samochody. Jeden z nich minął mnie, po czym gwałtownie zahamował i na wstecznym biegu podjechał do mnie. Był olbrzymi, szeroki, lśniący niklem, oślepiającym reflektorami. W środku było pełno pijanych, młodych ludzi. Była przecież sobota, dzień weekendów i zabaw. Na antenie wozu wisiała lilia kity. Najpierw śmiali się i pokazywali na mnie. Potem jeden z nich wstał i powiedział coś po szwedzku, ale nie rozumiałem. Oświadczyłem, że jestem Polakiem. Czy nie miałbym ochoty napić się drinka? — butelką trzymaną w ręku zapraszał do środka. Nie, nie mam ochoty. Czy bym nie lubił Szwedów? — zapytał wtedy. Wszyscy umilkli, sytuacja stała się dwuznaczna.

— Jestem już zaproszony do pana Olle Kranta, malarza. Tutaj — pokazałem do tyłu ręką. Wtedy ten, który do mnie mówił podał mi lilkę z butelki, po czym podał mi ją i powiedział: — To całkiem zwariowany facet, ale równy gość.

Wtedy dali mi już spokój i odjechali. W ręku została mi nie dokończona butelka. Spojrzałem na posiadłość, wokół której było już ciemno.

MAREK MILLER



Fot.: Archiwum

POPULARNOŚĆ,  
PIENIĄDZE  
I AS WYWIADU

Marcin Rodak ubolewał niedawno na tych łamach nad nieobecnością w telewizji Jana Ciszewskiego. Okazało się, że alarm był przedwczesny — Jan Ciszewski po urlopie podnieca nadal kibiców piłki kopanej. Jest to komentator rzeczywiście bardzo popularny i lubiany przez większość kibiców, ale nie sądzę, że jego popularność mogłaby komu przeszkadzać. Uwagi Rodaka na temat popularności są słuszne, ale w wypadku Jana Ciszewskiego nie mamy chyba do czynienia z indywidualnością. Po prostu ten sprawozdawca lubiany i popularny jest za to, że tak idealnie wyraża emocje przeciętnego kibica. Jan Ciszewski — podobnie jak anonimowy Nowak czy Kowalski na trybunach — krzyczy, kiedy pada bramka dla nas i rozpacza, gdy biją naszych. Kiedy nasz zawodnik fauluje przeciwnika, Jan Ciszewski woła: „to jest twarda, męska gra”, a kiedy nasz obrzuwa po kostce, Jan Ciszewski domaga się sprawiedliwości sędziego... Zupełnie jak przeciętny kibic. Dlatego Ciszewski jest popularny i dlatego lubią go słuchacze, koledy i — przypuszczam — zwierzcownicy.

Mnie natomiast interesuje odpowiedź na inne pytanie. Na przykład: „Dlaczego nie ma Karola Małcużyńskiego, skoro w „Wieczorze z dziennikiem” nadal bryluje pan Zyms. Dlaczego nie ma Ireny Falskiej, skoro w Dzienniku nadal widać p. Szczerską.” Otóż popularność tych pytań telewizyjnych polega na czymś innym — są to po prostu indywidualności. Podobnie jak w sformułowanym dawniej prawie, że pieniądz lepszy wypierany jest przez pieniądz gorszy — tak i w tym konkretnym wypadku outsiderzy wypierają liderów. Na pociechę liderom można tylko przypomnieć, że prawo o którymś wyżej, sformułował Mikołaj Kopernik. Ten sam Kopernik uwidocznił niedługo na dużych „dziesiątkach” wypartych obecnie przez małe „dziesiątki”.

Wracając do programu TV, pozostawiamy jednak przy forsie. „Wielka Gra” narazie rozluźnia regulamin, rezygnując z dawki emocji w miesięcznych odstępach. Obecnie — jeśli grający chce, po wygraniu sumy 4.000 zł może w czasie jednej emisji dojść do głównej wygranej — 25 tys. zł. Nie udało się to bardzo sympatycznej pani, odpowiadającej z tematu „Zofia Nalkowska”, co Stanisława Ryśter skwitowała pociechą, że „to przecież jest zabawa”.

„Wielka Gra” jest chyba jednym z najstarszych programów naszej telewizji i dobrze by było, aby można to o nim powiedzieć także za dwa dziesięć lat. Jest to bowiem zabawa (choć niezupełnie, bo przy dwudziestu tysiącach złotych zabawa się kończy, a zaczyna forsą), ale niesłychanie pożyteczna i wychowawcza. Pokazuje bowiem, że pasja, zainteresowanie, wiedza zdobywana nie dla papierka, czy pozycji, może czasem także procentować zapłatą w brzęczącej monecie. Jeśli nie w życiu, to przynajmniej w telewizji.

Ze wznowień telewizyjnych mamy Stirlitzę czyli „Siedemnaście mgieł wiosny”. Serial dobry, zrobiony w konwencji dokumentu. Ale właśnie ta konwencja i fakt, że film opowiada o postaciach i czasach autentycznych sprawiają, że każda historyczna nieścisłość szczególnie razi.

Drobiazgi te umykały przy pierwszej emisji, przy drugiej — rzucają się w oczy. Podobnie zresztą było przy „Stawce większej niż życie”. Otóż w drugim odcinku mowa jest o Goeringu i jego zameczku w Niemczech, w którym schronił się po atakach lotnictwa alianckiego na Kolonię. Jako ilustrację pokazano nam w serialu — zdjęcia dokumentalne z polowania w... Białowieży z lat trzydziestych, z Ignacym Mościckim na pierwszym planie.

Ponadto ukazały się w międzyczasie w Polsce książki i filmy na temat operacji V-1 i V-2 (książka M. Wojewódzkiego i serial telewizyjny) oraz operacji ocalenia Krakowa (książka „Manewr, który ocalił Kraków” i film Łomnickiego). Przypisywanie Stirlitzowi udziału w obu tych operacjach, aczkolwiek mieszczące się w konwencji serialu, jest w niezgodzie z ogólnie dostępną wiedzą na ten temat utrwaloną poprzez dokumentalne publikacje książkowe oraz filmy.

Ale — jak powiedziałem — są to raczej drobiazgi, które nie przeszkadzają śledzić z zainteresowaniem pasjonującej gry asa radzieckiego wywiadu.

TELEMAN

EUGENIUSZ IWANICKI

SZKLANY BYK

Gdyby ktoś zadal sobie trud i na podstawie badań dokonał porównania naszego bydła z lat czterdziestych z dzisiejszym, byłby zdumiony: jakiegokolwiek cechy byśmy się nie tknęli — okaże się, że dzisiaj ta cecha jest bez wątpienia lepsza. Wzrosła mleczność, waga, odporność na choroby, rozrodczość... Stało się to dzięki inseminacji. Dokonała się właściwa selekcja. Był to długi okres, lecz w pełni opłaciło się. Dziś nie ma województwa, na terenie którego nie działałyby przynajmniej jedna Stacja Hodowli i Unasienniania Zwierząt.



Fot. W. Parys

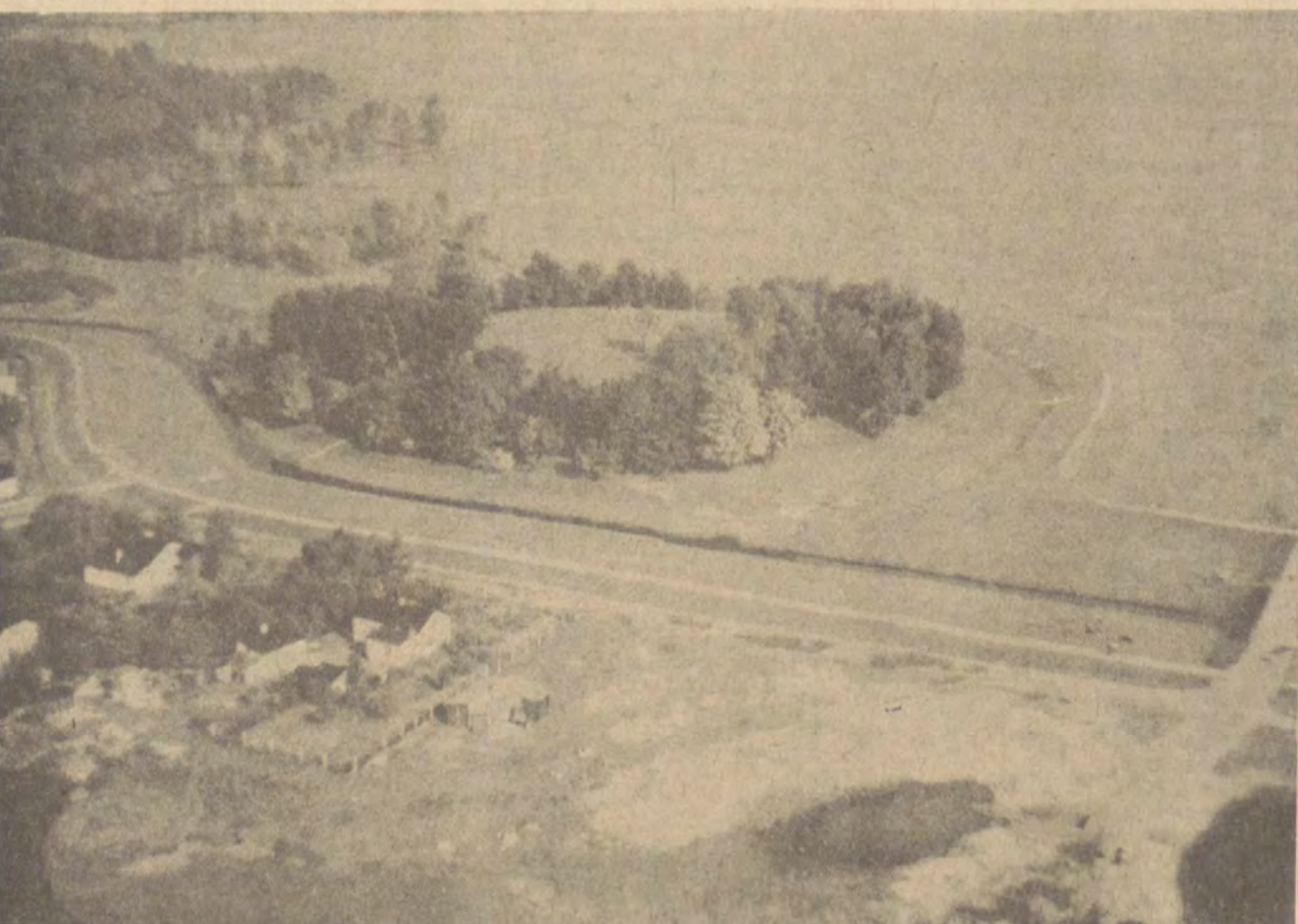
3. Sieradzkie. Za parę lat będą tu nowoczesne zespoły hodowlane. Powstanie „zagłębie”, skąd na kraj będą wysyłane zarówno sztuki hodowlane, jak i mleko, mięso, skóry. Dlatego też postanowiliśmy odwiedzić Stację Hodowli i Unasienniania Zwierząt w Krobanówku koło Zduńskiej Woli, by znaleźć odpowiedź na pytanie: co daje rolnikowi inseminacja? Czym jest i czym będzie inseminacja za parę lat?

1. W Krobanówku „włodarza” inżynierowie Elżbieta i Waldemar Jandlowie. Zapaleńcy oddani bez reszty swojemu zawodowi. Właściciele zawody zdobywali na studiach zootechnicznych, natomiast do „inseminacji” mają powołanie. Inż. Waldemar Jandl po ukończeniu Akademii Rolniczej we Wrocławiu zajął się początkowo tużem przemysłowym, potem trafił do Instytutu Zootechniki (hodowla bydła), następnie przeszedł do hodowli zarodowej, gdzie zainteresował się inseminacją. To go pochłonęło bez reszty. Był zdolny, szybko opanował trudne tajniki tej dyscypliny naukowej. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdża na staż naukowy do Bawarskiego Instytutu Hodowli Zwierząt w Grub koło Monachium, gdzie zajmuje się wyłącznie hodowlą i genetyką. Po praktykach w RFN, wyjechał do Holandii, do Zakładu Unasienniania w Oerle koło Eindhoven. Zona inżyniera, Elżbieta, w tym samym czasie odbyła podobny staż naukowy w Middelbrabant w Holandii. Wrócili do Polski i zabrali się z zapalem do pracy.

2. Inseminacja bydła zaczęła się w 1950 roku. Po raz pierwszy, 22 lipca, została powołana aktem prawnym stacja unasienniania zwierząt przy PGR Kruszów. Działalność stacji była niewielka, obsługiwała początkowo Państwowe Gospodarstwo Rolne. W 1950 roku zabiegowi sztucznego zapłodnienia poddano zaledwie 167 krów. W ówczesnych warunkach, przeciętnie pionierskich, wyglądało to tak: telefonicznie z któregoś PGR zgłaszano zapotrzebowanie na nasienie. Samochodem wzięto je do zamawiającego. Samochód był jeden, rozklekotana skoda, a biorąc pod uwagę rozległość terenu, po którym trzeba się było poruszać, jechano i ponad 150 km. Po dwóch latach, w 1952 r., przeszkolono pierwszych rolników, dając im uprawnienia inseminatorów. Był to przełom w rozwoju tej formy naszej gospodarki, od tego bowiem momentu można mówić o wzrastającej powszechności inseminacji. Był to bowiem rok, kiedy w sumie unasienniono ponad 4 tys. sztuk krów, spośród których większość pochodziła z prywatnych zagrod. Chłopi, początkowo bardzo nieufni, kiedy obejrzyli potomstwo po „szklanym byku” i stwierdzili, że jest ono nie tylko takie same jak po ich buhajach, lecz nawet jakby lepsze, powoli zaczęli zgłaszać się do Stacji Unasienniania Zwierząt.

Do 1958 roku na terenie byłego województwa łódzkiego obok stacji w Kruszowie, powstało Państwowe Laboratorium Rozdzielcze Nasienia w Łodzi, Stacja Unasienniania Zwierząt w Łowiczu oraz w Czechach koło Zduńskiej Woli (ta ostatnia została później przeniesiona do pobliskiego Krobanówka i oddana we władanie Elżbiety i Waldemarowi Jandlowi). W 1961 r. unasienniono 140 tys. sztuk bydła, w 1970 — ponad 410 tys. (co stanowiło 90 proc. ogólnego pogłowia). Jednym z pytań, jakie postawiłem małżonkom Jandlowi oraz dyrektorowi Okręgowej Stacji Hodowli Zwierząt w Łodzi inż. Jerzemu Tomczakowi i jego zastępcy inż. Eugeniuszowi Obermanowi było: co daje inseminacja?

Jeśli porównać wartość użytkową krów, to się okaże, że w wyniku powszechnego stosowania tego zabiegu, korzyści są wyraźne i namacalne. Wystarczy dokonać małego zestawienia. Krowa z 1953 r. dawała rocznie 2.519 kg mleka o zawartości tłuszczu 3,39 proc., w roku 1975 mleka było już 4.000 kg, a tłuszczu 3,90 proc. Wzrosła w tym czasie siedmiokrotnie ilość krów. Mając do dyspozycji buhaje rasy czarno-białej można nadal doskonalić genetycznie potomstwo. Buhaje do Stacji Hodowli i Unasienniania



Fot.: Archiwum

Zwierząt dobiera się bardzo troskliwie. W tej chwili na terenie objętym działalnością OSHZ w Łodzi spośród 30 tys. krów wybrano specjalnie 330 sztuk, które nazywa się umownie matkami buhajów. Krowy te, oprócz znanego i potwierdzonego pochodzenia, muszą wykazać się odpowiednią produktywnością. Takie krowy znajdują się praktycznie w różnych sektorach: państwowym, spółdzielczym, indywidualnym. Są one objęte szczególnie troskliwą opieką, a także indywidualnym planem kojarzeń, tzn. dla każdej krowy dobrany jest odpowiedni rodowodowo buhaj mający określone warunki i zatwierdzony przez Centralną Stację Hodowli Zwierząt.

5. Pobrane nasienie od buhaja może być przechowywane w temp. —196°C w ciekłym azocie w czasie praktycznie nieograniczonym. Po zapłodnieniu krowy, a potem po jej ocieleniu się, trzeba nowo narodzonego zgłosić do działu związanego z hodowlą bydła, gdzie przeprowadza się najrozmaitsze badania określające jego zdrowotność a także dokonuje się badań rodowodowych. Taki buhajelek przez 30 dni jest chowany przez właściciela, po czym jest odstawiany do Centralnej Wychowalni (w Kterach, w Łącku), by tam począwszy od 120 dnia przejść pomiary, ważenie i testy. Trwa to do 400 dni. Teraz następuje najważniejszy okres w życiu młodego buhajka: porównywanie wyników! Te, które nie uzyskują średnich wskaźników — idą na rzeź, pozostałe kieruje się do Stacji Unasienniania Zwierząt. Z reguły zaledwie 30 proc. buhajków otrzymują skierowania jako przyszłe produkty. Świadczy to o niezwyklej ostrości selekcji.

Po osiągnięciu wieku dojrzałego, nasienie buhajka zostaje najpierw kierowane do obór testowych (pokrywa się nim 300—400 krów), po czym przerywa się w ilości ok. 2.000 porcji wysyłane do Centralnego Banku w Instytucie Zootechniki w Babicach koło Krakowa. Dopiero po tym okresie buhaj zostaje włączony do normalnej rotacji unasienniania i jest eksploatowany przez dwa i pół roku w jednym rejonie, po czym przewozi się go w rejon inny. Tak więc, buhaj istnieje nie tylko sprawdzony jako reproduktor, lecz jego nasienie w stanie zamrożonym może być użyte w każdej chwili na jakimkolwiek terenie.

Obecnie w Polsce przeważają dwie rasy: mleczno-mięsna czarno-biała oraz rasa charlaise — typ mięsny. Z tej krzyżówki otrzymuje się cielęta posiadające właściwości obu tych ras. Genetycznie cielęta te mają lepszy przyrost, lepszy wzrost. Na ten rok zadania planowe w produkcji cieląt krzyżówkowych wynoszą 21.100 sztuk. Zamiast 5.000 buhajów w zagrodach indywidualnych, wystarczy trzymać ich w stacjach 240 sztuk. Jeden buhaj — może tym systemem unasiennić 3.500 krów (przy kryciu naturalnym zaledwie 120 sztuk krów). Tu wkroczą już ekonomika.

6. Podobnie ma się sprawa z trzodą chlewną. Sztuczne zapłodnianie macior stało się powszechne. Z chwilą, kiedy udało się zakonserwować nasienie knura na okres 3—4 dni powstały przesłanki do powołania stacji unasienniania. Przy kryciu naturalnym na jednego knura przypada około 30 loch, natomiast unasienniając sztucznie, nasieniem jednego knura można w ciągu

roku pokryć 300—500 macior. Dodatkową zaletą tego systemu jest to, że wszystko odbywa się w zagrodzie rolnika, a więc oszczędność czasu i transportu. W 1975 r. unasienniono 1.153 lochy, a w każdym miocie było ponad dziesięć prosiąt.

Kiedyś, w 1973 roku, inseminację trzody chlewniej rozpoczęto od 4 loch, dziś trzeba budować nowe stacje, bowiem zapotrzebowanie wzrasta z dnia na dzień. W Krobanówku już buduje się stację unasienniania loch — początkowo na 40 stanowisk, później dojdzie 60 dalszych. Będzie to jedyna tego rodzaju stacja w Polsce. Całość ma być ukończona w przyszłym roku, a do 1980 r. wszystkie lochy w województwie sieradzkim, tj. około 40 tys. zostaną objęte inseminacją. Pozwoli to na zrealizowanie programu hodowlanego dotyczącego krzyżowania międzyrasowego. Będą tu krzyżowane przede wszystkim rasy wielka biała polska i polska biała zwisłoucha. Natomiast w innych rejonach, w nieco gorszych warunkach glebowych krzyżówka dwóch ras białych zostanie pokryta krzyżówką rasy Hampshire.

7. W swojej wędrowce, odwiedziłem Tadeusza Kokoszkę ze wsi Osin, który pracuje od 12 lat jako inseminator. Pierwsze wrażenie: tak sobie wyobrażam współczesnego rolnika-hodowcę. Już czystość w obejściu i w domu, półki pełne książek, piękna polszczyzna i przekonanie, że na wsi można i należy dokonać jeszcze niejednego, muszą wywołać u przybysza rodzaj miłego zaskoczenia. Tadeusz Kokoszką trzy razy dziennie przemierza osiem podległych jemu wsi. Rocznie dokonuje inseminacji tysiąca sztuk bydła i prawie tyleż trzody chlewniej.

— Tu rolnicy nie trzymają buhajów — mówi. — Gdyby gdzieś się znalazł, jego właściciel zostałby wyśmiany. Wystarczy porównać potomstwo. Chłop nawet jeśli dużo nie mówi, to na pewno dużo widzi. A knurów nie trzyma się od dawna. Więc lochę na drugą wieś, to zawsze wiazało się z ryzykiem. Znam wypadki, kiedy locha spadła, złamała nogę i trzeba było ją zabić. Strata. A chłop jest najmniej skory do straty. Więc dzwonią po mnie. A jakie wspaniałe mamy w gminie potomstwo! Czasem aż 18 sztuk w jednym miocie! U nas mamy ostrouche białe polskie, ale rolnicy nastawiają się na zwisłouchę, bo to i nowość i są lepsze przrosty, większe mioty, prosięta są zdrowsze”.

Podobnego zdania był Józef Kurzawa ze wsi Goruchy, trzymający aktualnie 10 sztuk bydła, dwie lochy z prosiętami po dziesięć sztuk, oraz pięć warehlaków.

8. Kiedy kończyłem swój przydługi pobyt w Stacji Hodowli i Unasienniania Zwierząt w Krobanówku, inż. Waldemar Jandl opowiedział na zakończenie anegdotę, która w całości jest prawdą, a jedynie czas przydał jej anegdotycznego smaku. Otóż, kiedy rozpoczęto inseminację, ogłoszono, że będzie się ją wykonywać bezpłatnie, na podwórze wybranego gospodarza. Oczywiście przyszła cała wieś. Potem chłopie czekali, aż maciora się oprosi. Miot był liczny i dorodny. Posypały się zamówienia. W owym czasie byty trudności z transportem, inseminatorzy nie mogli wszędzie dotrzeć. I wówczas się zaczęło: interweniowano w KW, w radzie narodowej, a co sypniał się przyjeżdżali i ofiarowywali łapówki, aby tylko u nich dokonać inseminacji. Ale to już historia.

## U PRZYJACIÓŁ

Komitet Centralny KPZR podjął ostatnio uchwałę „O pracy z twórczą młodzieżą”. Na XXV Zjeździe partii stwierdzono znaczne zwiększenie aktywności radzieckiej inteligencji twórczej, w tym także i młodzieży — stwierdza się m. in. w uchwale. Wyśiłkiem młodych pisarzy, plastyków, kompozytorów, ludzi teatru, filmu i telewizji, powstało w ostatnich latach wiele cennych wartości kulturalnych, które zdobyły uznanie społeczeństwa. Młodzi twórcy przejawiają żywe zainteresowanie problemami współczesności, realizując skomplikowane zadania artystyczne. Komsomol, instytucje kulturalne i związki twórcze mają konkretne osiągnięcia w pracy z młodymi kadrami w zakresie literatury i sztuki.

Wzrastająca rola kultury i sztuki w epoce budowy komunizmu i zadania w zakresie pracy ideologicznej wymagają dalszego wzmocnienia profesjonalnego i ideowego kształcenia młodzieży twórczej. „Praca z młodzieżą — stwierdza się w uchwale KC KPZR — winna być oparta na poszanowaniu kształtowania się twórczych osobowości. Należy dokładnie poznać problemy i potrzeby młodzieży, pomagać w rozwijaniu uzdolnień, kierując je na twórczą, perspektywiczną drogę. Niezwykle istotne jest również stałe umacnianie więzi młodych artystów z życiem narodu, rozwijanie jej aktywności społecznej, powierzając jej odpowiedzialne zadania.

Uchwała wymienia szereg przedsięwzięć, które mają na celu ułatwienie startu zawodowego młodym twórcom wszystkich specjalności. Np. w dziedzinie plastyki KC KPZR zobowiązuje odpowiednio władze poszczególnych republik do usprawnienia działalności wystawienniczej, budowę nowych sal wystawowych oraz pracowni plastycznych. Zadaniem związków będzie publikowanie wyróżniających się utworów młodych artystów w dziedzinie literatury, publicystyki, dramaturgii, muzyki itp. Przy wytwórni „Mosfilm” zostanie utworzone eksperymentalne studio młodych, podobne studia powstaną także przy niektórych teatrach. Inną formą pomocy w rozwijaniu artystycznej działalności młodych będzie powiększenie funduszu Ministerstwa Kultury ZSRR na stypendia i zwiększone zakupy prac młodych twórców.

Siergiej Gierasimow, scenarzysta, aktor, reżyser i pedagog obchodził niedawno 50-lecie pracy twórczej. Gierasimow jest wychowawcą kilku już pokoleń aktorów radzieckich (m. in. Siergieja Bondarczuka, Iriny Makarowej, Wacława Tichonowa) i od lat konsekwentnie stosuje zasadę angażowania do filmów swoich uczniów — studentów i absolwentów Państwowego Instytutu Kineematografii. Na temat swej pracy z młodzieżą wybitny artysta wypowiedział się na łamach czasopisma „Młodoj Komunist”. Stwierdził tam m. in.: „Sądzę, że największe niebezpieczeństwo dla reżysera filmowego kryje się w gorączkowym poszukiwaniu aktorskiej obsady. Ja w czasie planowania scenariusza widzę już odwrócić i mam ich do dyspozycji... O sukcesie i popularności aktorów decydują dwa czynniki — talent i wiedza. Same tylko uzdolnienia, nie poparte gruntowną nauką, nie roszą większych perspektyw. Jedynie wysoki poziom wiedzy gwarantuje mistrzowskie opanowanie sztuki aktorskiej”.

S. Gierasimow jest twórcą i pedagogiem. Na pytanie: czy jest to więcej niż połączenie dwóch zawodów? — odpowiada następująco: „Z pewnością życie odmierza się nie tylko liczbą nakręconych filmów, ale też tą liczną rzeszą młodzieży, która przeszła przez naszą uczelnię. Dotyczy to osobistych losów tych wszystkich młodych, których przyszłość powierzono naszej trosce... Obecnie pracuję z siódmym już z kolei rocznikiem. A każdy z nich w jakiś sposób „odejmuje” mi pięć lat życia. Dla mnie osobiste nie ma nie bardziej interesującego, niż śledzenie rozwoju aktora. I nie ma nie bardziej ważnego niż pomoc w jego kształtowaniu. Niestety, pedagogika nie opanowała jeszcze bezbłędnych metod w nauczaniu. Dlatego na swój własny użytek stworzyłem metodę prób i błędów. Nigdy też nie staje na przeszkodzie twórczym poszukiwaniom moich uczniów”.

„My, radzieccy działacze kultury — stwierdza na zakończenie wywiadu S. Gierasimow — swoją pracę dla sztuki i kształcenia młodych pokoleń pojmujemy jako bezpośredni i szczer dialog z widzem o najistotniejszych problemach współczesności, o naszym życiu, w którym się toczy walka o człowieka, o najszczytniejsze ideały ludzkości”.

„Jeśli rząd labourystowski upadnie w wyniku nacisku ze strony międzynarodowych giełd walutowych i banków, kraj znajdzie się w bardzo niebezpiecznej sytuacji politycznej. Kierownictwo związków zawodowych będzie niezadowolone, zaufanie społeczeństwa zostanie podważone jeszcze bardziej, a my, konserwatyści, powrócimy do władzy, mając niemal taką samą znikomą przewagę w parlamencie, jaką rozporządzają dziś labourzyści. Odziedziczylibyśmy w spadku ruinę, a kroki, których oczekują od nas międzynarodowe koła finansowe niezawodnie doprowadziłyby nas znów do konfrontacji ze związkami zawodowymi. A starcie, wydaje się, byłoby tak mocne, że chyba nie udałoby się zebrać nawet okrucich obecnej współpracy”.

Taki pogląd na obecną sytuację polityczną i gospodarczą w Anglii wyraził pewien młody, ale wpływowy torys, członek Izby Lordów.

Istotnie, katastrofalny spadek funta szterlinga odsonił całą ostrość ekonomicznego, walutowego i finansowego kryzysu, który przeżywa obecnie Anglia. Problemy brytyjskiej ekonomiki komplikują się z dnia na dzień, a koła rządzące nie są w stanie ich rozwiązać. Tego, co wydarzyło się na międzynarodowych giełdach walutowych w październiku tego roku, nie można uważać tylko za zwykły, kolejny atak na znękany funt szterling. Międzynarodowe giełdy walutowe z całą bezwzględnością uznały próby rządu brytyjskiego, zmierzające do uzdrowienia ekonomiki, za beznadziejne. Kurs funta i bez tego utrzymujący się na „psychologicznie krytycznym” poziomie, spadł z 1,70 do 1,66 dolara. (26 października spadł jeszcze niżej: 1,57 dolara). Premier James Callaghan, występując w pełni kryzysu na kolejnej konferencji partii labourystowskiej w Blackpool powiedział, iż uzdrowienie ekonomiki będzie wymagało od Anglików jeszcze większych ofiar. To wystąpienie przed partią prezes rady ministrów wykorzystał w znacznym stopniu do pouczenia przedstawicieli lewego skrzydła labourystów o twardej rzeczywistości ekonomicznej.

W innych okolicznościach takie wystąpienie, być może, nastawiłoby świat finansowy bardziej przychylnie do Wielkiej Brytanii i pomogło, choćby częściowo, w odzyskaniu zaufania do funta. Tym razem nie wydarło ono żadnego wrażenia — funt nie przestał spadać. Kryzys przycichł na pewien czas dopiero wtedy, gdy minister finansów Denis Healey odwołał swoją podróż na Bliski Wschód i przystąpił do rozmów w sprawie otrzymania terminowej pożyczki z międzynarodowego Funduszu Bankowego (MFW). Rząd złożył oświadczenie o zamiarze zaciągnięcia pożyczki w MFW w wysokości 3,9 miliarda dolarów. Jest to maksymalna wysokość kredytu do jakiej ma prawo Wielka Brytania w MFW. Nowa pożyczka jest czwartą z kolei wielką pożyczką zagraniczną Anglii, zaciągniętą na przestrzeni niespełna roku. Żeby ją otrzymać Healey musi jeszcze raz przekonać państwa zachodnie nie tylko o tym, że ekonomiczna strategia jego rządu jest dostatecznie rozumna,

Tym bardziej iż ekonomika szeregu innych zachodnio-europejskich krajów także przeżywa trudne czasy. Gorączkuje lir włoski: w początkach października, niejako solidaryzując się z funtem, cena lira gwałtownie spadła w stosunku do dolara i zachodniemieckiej marki. Kurs francuskiego franka spadł także, choć nie tak gwałtownie.

Czym zostały wywołane wstrząsy, które uderzyły w funt szterling? Eksperci finansowi na Zachodzie uważają, że jednym z czynników tego zjawiska jest to, że funt szterling, już z tradycji byłego imperium, odgrywa rolę waluty rezerwowej. Zapasy funtów szterlingów w największych bankach świata na kontach firm, kompanii i pojedynczych osób wynoszą w sumie około 10 i pół miliarda dolarów. Za każdym razem, kiedy sytuacja w Anglii wywołuje zaniepokojenie wśród właścicieli kapitału, dążą oni do wyzbywania się swoich funtów. Stwarza to tendencję do obniżenia kursu, z którą rząd bry-

Heatch. Jego polityka walki z inflacją mi związkami zawodowymi paraliżowała ekonomikę kraju i pamięć o tych wstrząsach jest jeszcze bardzo świeża. Panuje powszechne przekonanie, że efektywnie kierować krajem można tylko pod warunkiem współpracy ze związkami zawodowymi.

Przez łamy prasy światowej przewija się pogląd, że Wielka Brytania jest pogrążona w ekonomicznym chaosie. Pewien wyższy urzędnik holenderski — jak podaje komentator ekonomiczny „New York Times” — zatrudniony w biurze EWG w Brukseli wyraził opinię, że „Wielka Brytania ma znacznie mniejsze możliwości rozwoju niż inne państwa”.

Przynajmniej tych trudności analizuje się w Londynie bardzo uważnie. Za jedną z nich uważa się sytuację powstałą po zmierzchu Imperium (kolonialnego), które było podstawą stworzenia przemysłu brytyjskiego oraz zmianami, które nastąpiły w wyniku dwóch wojen światowych.

W ciągu dwóch ostatnich dziesięcioleci tempo wzrostu brytyjskiej ekonomiki wynosiło poniżej 3 procent rocznie, co jest najniższym wskaźnikiem dla krajów Zachodu.

Inne kraje budowały nowe i nowoczesne fabryki, żeby podnieść zdolności konkurencyjne „swojej produkcji na rynkach światowych. A podstawą przemysłu angielskiego, który poniósł stosunkowo nieduże straty podczas II wojny światowej, były od dawna już wybudowane przedsiębiorstwa i przestarzałe formy produkcji. Wynikiem tego była niedostateczna wydajność pracy i spory brak popytu na angielską produkcję. Zmniejszyły się także obroty handlu zagranicznego Wielkiej Brytanii.

Dwadzieścia lat temu Anglia produkowała 30 procent towarów przemysłowych kierowanych na rynki światowe, obecnie udział jej w tym dziale ekonomiki zmniejszył się do 8 procent. Dla porównania: udział produkcji RFN na rynkach światowych zwiększył się w tym czasie z 19 do 22 procent. Do Anglii wpływa coraz mniej pieniędzy i kraj, który niegdyś był największym wierzycielem świata, przekształcił się w największego dłużnika. Stosunki między właścicielami przedsiębiorstw a robotnikami są tak napięte, że nieznaczna nawet różnica zdań przeraża w zagrożenie, a następnie w strajki trwające dopóty, dopóki strony nie zdecydują się na rozmowy.

Wielka Brytania próbuje wyrwać się z tego spadku ekonomicznego, największego od czasu zakończenia II wojny światowej, ale bezrobocie sięga prawie 6 procent. Robotnicy, którzy w innych warunkach mogliby poszukać sobie innej pracy, doświadczają dziś uczucia lęku przed niepewnością dnia jutrzejszego.

JERZY CZECH

## ANGLIA

# W POSZUKIWANIU WYJŚCIA Z KRYZYSU

lecz także i o tym, że rząd ma zdecydowany polityczny zamiar wprowadzenia w życie bezlitosnych oszczędności.

W finansowych kołach Waszyngtonu — pisze korespondent nowojorskiego „Time’a” — uważa się, iż określone warunki, na których udzieli się Anglii nowej pożyczki, zmuszą rząd labourystowski do działań jeszcze bardziej zdecydowanych i do narzucenia związkom zawodowym programu drastycznych oszczędności. Oto, co powiedział pewien bankier z Wall Street: „Ogólnie rzecz biorąc, rozumiemy oczywiście, że funt szterling się teraz poniżej jego nominalnej wartości, lecz cała sprawa polega na kryzysie zaufania. A my nie widzimy jeszcze kroków, które by zmierzały do rozwiązania tego problemu”.

Rząd brytyjski stara się oczywiście udowodnić, że nieoczekiwana słabość funta jest nie tyle przejawem kryzysu, ile po prostu epizodem, chociaż, przyznać trzeba, niepokojącym.

tyjski nie jest w stanie walczyć. A

podstaw do niepokoju nie brakuje. Jaskrawym tego przykładem jest inflacja. Na wiosnę rząd z przekonaniem zapowiadał, że z początkiem przyszłego roku poziom inflacji wyniesie zaledwie 10 procent. Ale lato miało i bezpodstawnie tych prognoz stawała się oczywista. Stopniowy spadek kursu funta (z dwóch dolarów z centami w marcu do 1,70 dolara w czerwcu) doprowadził do podrożenia importu. Nieprzewidziane komplikacje spowodowała susza wyniszczająca zbiory.

W Partii Pracy panują nadal rozbieżności i zamęt, co stale podkreślają zagraniczni obserwatorzy. Lider Partii Konserwatywnej, Margaret Thatcher, kieruje najślabszą — na przestrzeni ostatnich 40 lat — opozycją torysów, wśród których różnice zdań na temat problemów polityki ekonomicznej są nie mniejsze niż wśród labourystów. Partia konserwatywistów wciąż jeszcze czuje ciężki jakiego otrzymania, kiedy premierem był Edward

## Kierunek - jeszcze pełniejsze rozwinięcie współpracy

Zapowiedź wizyty partyjno-rządowej delegacji pod przewodnictwem Edwarda Gierka w Związku Radzieckim przyjęta została z dużym zainteresowaniem. Serdeczne i partnerskie więzi, jakie łączą nasze kraje, z każdym rokiem pogłębiają się. Wielopłaszczyznowa współpraca jest obustronnie korzystna i ułatwia realizację programów VII Zjazdu PZPR i XXV Zjazdu KPZR. Wspólną cechą tych programów jest dążenie do dynamicznego rozwoju obu krajów, w pełni skoordynowane z systematycznym podnoszeniem warunków życia ludzi pracy. Również w zakresie międzynarodowym występuje całkowita zbieżność celów i dróg do nich prowadzących. Można więc oczekiwać, że moskiewskie rozmowy naszej delegacji przyczynią się do jeszcze większego zespolenia działań obu krajów i dalszego rozszerzenia współpracy.

„Polska dzisiaj — mówił w czasie uroczystego koncertu w Warszawie z okazji 59 rocznicy Rewolucji Październikowej członek Biura Politycznego, minister Obrony Narodowej — gen. W. Jaruzelski — jest niezachwycenie, najważniejszym partnerem. Nowoczesność wyrobów, skala i wszechstronność eksportu, w tym eksportowe zdolności inwestycyjne, wszystko to włączamy w orbitę naszej współpracy. Jesteśmy coraz bardziej obecni na radzieckiej gospodarce mapie. Jest to ekonomicznie racjonalne i obustronnie korzystne”.

Nasza dwustronna i wielostronna, w ramach RWPG, współpraca ma wymiar szeroki i obiektywnie służy rozwojowi stosunków międzynarodowych w duchu Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

Wprawdzie na tej drodze osiągnięto ogromny postęp, wciąż jednak pokój nie został jeszcze na dobre ugruntowany. O jego trwałość i nienaruszalność trzeba nieustannie walczyć. Zwłaszcza, że ostatnio znów zaktywizowały się siły przeciwne pokojowemu współistnieniu. Jednak korzystnych procesów w świecie nikt już nie może odwrócić. Dlatego jesteśmy optymistami i wierzymy, że odprężenie nabrać będzie cech wyższej jakości.

Takiej tendencji toruje nieustannie drogę radziecki program pokoju, przyjęty na XXIV Zjeździe KPZR, a wzbogacony i dostosowany do nowej sytuacji na Zjeździe XXV.

Listopadowe wybory w Stanach Zjednoczonych przyniosły zwycięstwo kandydatowi partii demokratycznej — Jimmy Carterowi. W styczniu zostanie on zaprzysiężony i przejmie najwyższy urząd w USA. W toku kampanii przedwyborczej, jak to już wyjaśnialiśmy, Ford i Carter właściwie nie różnili się w tej części swojego programu, która dotyczyła polityki zagranicznej. Obaj na przykład opowiadali się za dalszym normowaniem sytuacji międzynarodowej i rozwijaniem dotychczasowych stosunków z ZSRR. Wynika

to z faktu, że Stany Zjednoczone muszą liczyć się z rzeczywistym układem sił w świecie. Ten właśnie wzgląd skłonił przed laty koła rządzące w Waszyngtonie do poszukiwania porozumienia ze światem socjalistycznym.

W październikowym, omawianym na tym miejscu przed tygodniem, przemówieniu na plenum KC KPZR Leonid Breżniew powiedział w kontekście omawianej sprawy:

„Jedno powinno być w każdym razie absolutnie jasne: nasza polityka, zmierzająca do szeroko zakrojonego rozwoju stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, do zmniejszenia groźby nowej wojny światowej, pozostaje niezmienna”.

Sily socjalizmu i pokoju mają już taki wpływ w świecie, że rozwiązanie najważniejszych problemów, choćby były bardzo trudne, jest możliwe. Takim trudnym problemem, jak wielokrotnie o tym pisaliśmy, jest rozbrojenie.

Tematyka ta, jak wiadomo, dominuje na obecnej sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ. W debacie rozbrojenia wojny pod koniec ub. tygodnia zabrał

głos przedstawiciel Polski, który podkreślił, że brak postępu w tej dziedzinie mógłby zniweczyć korzystne zjawiska odprężeniowe w świecie. Mówca z pakietu propozycji, zmierzających do zahamowania wyścigu zbrojeń, położył szczególny nacisk na konieczność ograniczenia zbrojeń nuklearnych oraz konkretnych redukcji w tej dziedzinie, potrzebę powstrzymania procesu doskonalenia broni masowej zagłady, celowość wyeliminowania w ogóle broni chemicznej... Wznowienie prac genewskiego Komitetu Rozbrojeniowego w sprawie zakazu badań i produkcji nowych rodzajów i systemów broni masowej zagłady oraz światowej konferencji rozbrojeniowej z udziałem wszystkich krajów byłoby w aktualnej sytuacji szczególnie pożądane.

Zagwarantowanie trwałego pokoju i bezpieczeństwa narodom jest najważniejszym kierunkiem międzynarodowego działania państw socjalistycznej wspólnoty. Tych spraw makrodotyczyć będą także polsko-radzieckie rozmowy w Moskwie.

W. SŁAWSKI

PAWEŁ PATORA

# Co dwunasty inżynier...

Politechnika Łódzka utrzymuje bliskie kontakty z ośrodkami naukowymi trzynastu krajów świata. Wieleletnie umowy o współpracy łączą ją z Moskiewskim Instytutem Technologicznym, Uniwersyteciem Technicznym w Glasgow, Leninradzkim Instytutem Przemysłu Celulozowo-Papierniczego, Uniwersyteciem Technicznym w Dreźnie, Wyższą Szkołą Techniczną w Karl-Marx-Stadt i Uniwersyteciem Las Villas w Santa Clara. Przygotowuje się siedem dalszych umów.

290 MILIONÓW ROCZNIE

Łódzka politechnika jest nie tylko cenionym partnerem dla innych ośrodków naukowych, ale także coraz bardziej atrakcyjnym kontrahentem dla przemysłu. Wartość prac badawczych wykonywanych w PL dla potrzeb gospodarki narodowej stale rośnie. W roku 1971 wynosiła milion zł. Już w trzy lata później przekroczyła 100 mln zł, a w bieżącym roku wyniesie prawie 200 mln zł. Oszczędności ekonomiczne uzyskane poprzez praktyczne zastosowanie tych prac są ogromne. Dla przykładu, jeden tylko wynalazek zespołu profesora J. Szreniawskiego i doktora St. Pietrowskiego — żeliwo nadające się do produkcji kokilowych odlewów cienkościennych pozwala już dziś zaoszczędzić w jednym tylko zakładzie, Wytwórni Sprzętu Mechanicznego w Krotoszynie 50 mln zł rocznie, a w przyszłości oszczędności te znacznie wzrosną. Podobne efekty przyniesie stosowana już w wielu zakładach przemysłowych nowa metoda obróbki powierzchni metalu uodparniająca części maszyn na zużycie i zatarcie — dzieło zespołu kierowanego przez doc. dr. Z. Hasia. Opracowana pod kierunkiem prof. J. Szoslanda optymalizacja procesu tkania dla krośien automatycznych została zastosowana w przemysle lnianym dając roczne oszczędności w wysokości 50 mln zł. Dwieście milionów złotych wynosi wartość rocznej produkcji leku przeciwbólowego o nazwie IBUPROFEN, wytwarzanego w pabianickiej „Polfie”. Technologicznie opracował zespół naukowy z Instytutu Chemii Ogólnej, pracujący pod kierunkiem doc. H. Zająca. Poprzednio lek o takim samym działaniu trzeba było sprowadzać za dewizy.

NA DRUGIM MIEJSCU W KRAJU

Wymieniłem zaledwie kilka osiągnięć naukowych. Pełna lista obejmuje 337 udzielonych patentów i 13.500 publikacji, omawiających oryginalne prace badawcze naukowców politechniki. Wynalazczość rozwija się w Politechnice Łódzkiej wyjątkowo szybko. Tylko w roku 1973 złożono do opatentowania 106 wynalazków. Efekty ekonomiczne, jakie uzyskiwały w ubiegłym roku jednostki gospodarki uspołecznionej dzięki zastosowaniu patentów z łódzkiej politechniki, stawiają tę uczelnię na drugim miejscu spośród wszystkich szkół technicznych kraju. Większość opatentowanych wynalazków z PL zastosowano w praktyce — co z jednej strony świadczy wymownie o ich wartości, z drugiej dowodzi bliskich powiązań uczelni z przemysłem.

Związki te stale się pogłębiają, czego konsekwencją są 23 wieloletnie porozumienia o współpracy, zawarte przez uczelnię z jednostkami gospodarczymi oraz 48 umów podpisanych na szczeblu instytutów. Do przemysłowych partnerów politechniki należą m. in. Zjednoczenie Przemysłu Elektronicznego „UNITRA”, Elektrownia i Kopalnia Węgla Brunatnego w Bełchatowie, Fabryka Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej „Ema-Eita”, Kombinat Hydrauliki Siłowej „PREMA-HYDROS”, Zjednoczenie Budowy Maszyn Ciężkich „ZEMAK”.

Polityka naukowa uczelni zależy w dużej mierze od poziomu prowadzonych w niej badań tzw. podstawowych. Wyniki tych prac bezpośrednio decydują o stanie nauk stosowanych, o efektach badań prowadzonych dla potrzeb gospodarki. W ciągu minionych 31 lat w wielu dziedzinach nauk podstawowych Politechnika Łódzka stała się ośrodkiem promiennym na cały kraj i wysoko cenionym za granicą. Znaną są wśród badaczy łódzkie szkoły naukowe m. in. z zakresu teorii mechanizmów i dynamiki maszyn, teorii przepływow, teorii transformatorów, maszyn i urządzeń elektrycznych, chemii fizyki polimerów, teorii sterowania optymalnego, chemii radiacyjnej, chemii żywności.

CO DWUNASTY INŻYNIER

Co dwunasty inżynier w Polsce posiada dyplom Politechniki Łódzkiej: 21.500 absolwentów i 14.500 studentów PL — to ogromna rzesza ludzi. Wypełnili by po brzegi stadion LKS. Przemysł naszego kraju potrzebuje fachowców o najwyższych kwalifikacjach. Politechnika odpowiadała na te potrzeby systematycznie zwiększając limity przyjęć na pierwszy rok, powołując coraz to nowe kierunki i specjalności. Dziś kształci studentów na jedenasztu spośród osiemnastu zarejestrowanych w Polsce kierunkach studiów technicznych. Coraz liczniejsze jest rono studiujących w PL aparaturę elektroniczną, architekturę, inżynierię materiałową i inne niedawno uruchomione specjalności.

Z MYŚLĄ O JUTRZE

Cały potencjał naukowy uczelni został skoncentrowany wokół kilku uczelnianych programów badawczych, obejmujących dziedziny, które w przyszłości mają stanowić specjalizację łódzkiej politechniki. Przy wyborze priorytetowych kierunków uwzględniano przede wszystkim potrzeby gospodarki narodowej, głównie okręgu łódzkiego poziom kadry naukowej, możliwości aparaturowe, dotychczasowy dorobek naukowy oraz zgodność z problematyką węzłową. Ostatecznie postanowiono skoncentrować działalność naukową uczelni wokół problemów naukowo-technicznych zagłębia bełchatowskiego, chemii i technologii żywności, włókiennictwa i maszyn włókienniczych, transformatorów, maszyn i aparatów elektrycznych, papiernictwa i maszyn papierniczych oraz hydrauliki siłowej.

Instytut Politechniki podjęły liczne badania w ramach sześciu programów rządowych i trzydziestu dwóch problemów węzłowych, szczególnie aktywne włączając się do prac dotyczących optymalizacji produkcji i spożycia białka oraz elektronicznej krajiny.

„W imieniu przewodniczącego Rady Państwa dekoruje sztandar Politechniki Łódzkiej Orderem Sztandaru Pracy I klasy” — z tymi słowami członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR tow. Jan Szydłak przekazał uczelni jedno z najwyższych odznaczeń państwowych przyznane za szczególne zasługi w działalności badawczej i dydaktycznej.



Fot. Z. W. Nowak

WIESŁAW JAŹDZYŃSKI

# W NOWYM KOSTIUMIE...



Lektura tegorocznej prasy z różnych miesięcy, rozmaitych „oślich łązek”, utwierdza w przekonaniu, że nasze życie obyczajowe bardzo się ostatnio wzbogaciło w zupełnie nowe momenty. Rej w tym względzie wiodą nasze telewizyjno-radiowo-prasowe primabaleriny, one bowiem pierwsze, zawsze pierwsze, lansują przyjmowane niestety chętnie obyczaje, wzorce zachowań, mody.

Czytelnicy „Sztandaru Młodych” z pewnością do dziś jeszcze pamiętają wywiad, którego udzielił ceniony gwiazdor piosenki lekkiej, łatwej i przyjemnej Jerzy Polomski. Zgodnie z nowymi obyczajami mistrz uchylił rąbka swoich osobistych tajemnic, a właśnie na to czekają miliony. W końcu piosenki można kupić wszędzie, posłuchać w radiu, telewizji, dyskotekach, na prywatkach, w domu i na ulicy, z osobistymi tajemnicami tak dobrze jeszcze nie jest. Przeczytaliśmy więc z wypiekami na twarzy, że mistrz ośmielił się pewną damę, zakochaną w nim po uszy tak dalece, że dopiero po kilkunastu latach zdecydowała się ujawnić swoje uczucia na piśmie, adresując list na ręce gwiazdora. Dama liczy ponad siedemdziesiąt lat. Sukces doprawdy niezwykły, bo przecież tylko nie byle kto potrafi rozpalic ogień w tak długo pracującym serduszkach. Pochwalivszy więc siebie dał nam piosenkarz prawdziwą lekcję taktu i skromności.

Z kultem gwiazd, który zresztą one same z powodzeniem podtrzymują, jesteśmy już zżyci, przyjmujemy ów narcyzm jako naturalny obyczaj. Pewna istotna nowość polega — jak sądzę — na tym, że ów kult rozpowszechnia się w zdumiewająco szybki sposób również przy pomocy instytucji społecznych. Cytuję za tygodnikiem „Polityka” bardzo charakterystyczną notatkę:

„U wejścia do Zakładowego Domu Kultury w Osowcu zawieszono plakat: Koło ZMS przy ZDK w Osowcu zaprasza na spotkanie z (wypisano imię i nazwisko) znanym ze spotkania z profesorem Bardinim w Studio 2 TV”.

I oto mamy nową gwiazdę, która

spotkała się ze sławną i słusznie uznawaną. Wielkie mamy w tym zakresie możliwości kreowania primabalerin. Proszę tylko pomyśleć — spotkanie w Domu Kultury, Klubie, świetlicy, z człowiekiem znanym z podawania pilek Wojciechowi Fibakowi, z człowiekiem, który pomagał znosić z boiska kontuzjowanego Andrzeja Szarmacha,jechał autobusem z Anną Jantar, pracował przy budowie elektrowni Kozienice, którą kieruje czołowa gwiazda naszej telewizji. Ci natomiast, co znali Bolesława Prusa, Stanisława Wyspiańskiego czy Stefana Żeromskiego, mogą spokojnie pisać pamiętniki.

Niezależnie od aspektu powszechności, gwiazdorstwo porządkuje nasze trudne życie, likwiduje rozterki, ułatwia wybór. Jeżeli bowiem mamy wybrać jakąś czołową postać, a jest to praktyka częsta, to wrzucamy do lejka, od góry, wcale liczne towarzystwo, a na końcu wyskoczą i tak redaktorzy — Jacek Fuksiewicz, żeby mówić o filmie, Lucjan Kydryński o piosence i Szymon Kobylński o wszystkim. Urządzenie proste i bezpieczne. „Głos Szczeciński” donosił nie tak dawno temu, że Jury Festiwalu Malarstwa Współczesnego już po raz trzeci z rzędu przyznało Grand Prix swojemu przewodniczącemu. Nic tak nie upraszcza życia jak gwiazda na tapecie.

Gwiazdy, które ciągle widzimy, styszemy, czytamy o nich, nie mogą być nazywane zwykłym, ogólnie przyjętym językiem, ponieważ mowa, którą się posługujemy jest uboga, zbyt zwyczajna i stąd właśnie nasz sławny prezenterzy, aranżerzy-menedżerzy, czy selekcjonerzy, otoczeni pierwszymi i drugimi asystentami, jak w akademickiej katedrze, radzą nad wyborem defensorów. Piłkarzy nazywa się profesorami, trenerów intelektualistami. Cóż się tedy dziwić, że już nikt nie

chce się nazywać zwyczajnie i po prostu, nawet instytucje. W Chlewickach — na przykład — mieliśmy do niedawna Zakłady Metalowe „Metaldruk”. Obecna ich nazwa wygląda tak: Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe — Zakłady Wytwórcze Urządzeń Rozrywkowych w Chlewickach. Nazwa bliższy i jest dostatecznie niejasna, aby ją podziwiać. Aż dziw bierze, że zmiana szyldu może mieć tak ogromne znaczenie.

Zastanawiałem się dosyć długo nad tym, kto wiezie prym w proponowaniu nowych obyczajów: kobiety czy też mężczyźni? Bez szczególnego entuzjazmu ustaliłem, że jednak mężczyźni. Ich propozycje, tak bym to określił, cechuje dobra wola i niezmienna, znana od czasów Adama miłość do Ewy. W rejonie Trójmiasta był — począwszy od 8-go marca — i jak słyszę jest kolportowany pocztą apel. Adresatów płci męskiej prosi się gorąco, aby przesyłali ów apel w trzech egzemplarzach, pleniędzy na znaczki pocztowe nie żalowali i co rychło przesyłali dalej tekst znanym przyjaciółcom. Oto pierwsze zdanie apelu:

„Jeśli kochasz kobiety i są ci mile, bądź im matką, ojcem i kochankiem”. Proszę zwrócić uwagę na fakt, że dla kobiety mężczyzna gotów jest zostać hermafrodytą, a nawet kazirodcą. Ale to jeszcze drobiazg. Szczególną i bardzo obiecującą nowalijkę obyczajową proponują panowie wprowadzić do bardzo dla wszystkich ważnego życia przedmałżeńskiego. Jak wiadomo nikt nie lubi kupować kota w worku, niemal każdy mężczyzna chciałby najpierw wypróbować partnerkę, kobiety podobnie, jeśli się nie myli. W „Głosie Wielkopolskim” można było przeczytać ogłoszenie wzywające prawdziwą rewolucję obyczajową. Pewien pan poszukuje pracującą pannę, nawet bez mieszkania, ale za to z fotografią, w celu matrymonialnym i nie dla siebie jak to bywało, lecz dla kolegi. Rewolucja, tego nie można inaczej nazwać! Dotąd bowiem kolega sprawdzał koledeżone, co już nie mogło mieć, niestety, żadnego poważniejszego skutku, obecnie zaś przyjacielska recenzja może ocalić człowieka przed nieszcześciem, lub też zapewnić długie, pogodone lata z wypróbowaną żoną i niezawodnym przyjacielem.

Skoro mowa o szczęściu osobistym warto dodać, że za ludźmi nadążają z powodzeniem instytucje, one też dbają o nas, a to cieszy. Wrocław zapowiedział otwarcie prawdziwego kombinatu szczęścia, ukrytego pod skromnym i mało efektywnym szyldem Urzędu Stanu Cywilnego. Serce rośnie kiedy się człowiek dowiaduje, co też będzie mógł w takim kombinacie załatwić. Może wejść tam nago, jeśli tylko potrafi, a wyjść w ślubnym garniturze, wraz z niezbędnymi dodatkami i wydatkami, może zawrzeć nie tylko małżeństwo, ale i skonsumować je na miejscu w odpowiednich pomieszczeniach, a także uzyskać porady na temat, jak się to robi zgodnie z ostatnimi osiągnięciami nauki. W kombinacie szczęścia można będzie również uzyskać rozwód, świadectwo zgonu, zakupić trumnę i wieńce, słowem załatwić wszystko, co jest do szczęścia potrzebne, bez biegania od Annasza do Kafjasza. Dużo w tym nowego, nigdzie dotąd bowiem nie łączono tak zgrabnie nocy poślubnej z ostatnią w życiu, lożnicą z trumną.

No, a inne obyczaje trwają, żeby już nie powiedzieć — stabilizują się. Szczeciński Zakład Gazownictwa (nie mylić z zakładem gastronomicznym) ogłosił wszem wobec, że nie przyjmuje już absolutnie żadnych zamówień na reperaturę czy budowę nowych instalacji od instytucji państwowych i osób prywatnych, ponieważ sam jest bardzo zajęty budową nowej sieci. Zakład ostrzega wszystkich zainteresowanych, że nie mogą tych prac powierzać komu innemu, gdyż zgodnie z przepisami tylko Zakład Gazowniczy może je wykonywać. Typowy obyczaj i przykład poszanowania przepisów, które znaczą wszystko, a człowiek nie nie znaczy.

Przeżytałem, że w jednym ze szpitali stołecznych pomylono zwłoki byłych pacjentek. W rezultacie jedna rodzina odpowiedzialna na cmentarz i pochowała cudzego zmarłego a druga nie chce odebrać zwłok, ponieważ także są cudze. Obie rodziny otrzymały od Dyrekcji Szpitala takie wyjaśnienie:

„...teraz już nie nie da się zrobić. Ekshumacja zwłok wymaga bowiem zgody prokuratora. Szpital nie może pokryć kosztów jakie poniosły obie strony”.

Nie ma to jak jasne dla każdego przepisy. A dobry obyczaj każe je szanować nawet gdyby przemieniły się w czysty absurd.

## RELACJA

Dalszy ciąg ze str. 1

### POSZUKIWANIA ZABÓJCY

Lekarka natychmiast po dokonaniu strasznego odkrycia telefonicznie alarmowała milicję. W kilka minut na miejscu byli inspektorzy służby kryminalnej. Panujący w mieszkaniu nieład świadczył, że zbrodnia miała podłoże rabunkowe. Potwierdzili to właściciele mieszkania. Stwierdzili, iż z kasetki przechowywanej w małej szafce zrabowano biżuterię należącą do nich i ich zamordowanej matki. Morderca zabrał też przechowywane w kasetce obce waluty. Z miejsca przystąpiono do poszukiwania i zabezpieczenia wszelkich śladów mogących doprowadzić do zdemaskowania zabójcy. Nie pozostawił ich jednak wiele. A przede wszystkim takiego, który mógłby przyczynić się do natychmiastowego zatrzymania winnego.

Jak ustalono, zbrodni dokonano w późnych godzinach rannych. Wtedy, gdy oboje małżonkowie byli w pracy, podobnie jak i inni mieszkańcy tego domu. Nikt nie widział, kto tego dnia przed południem wchodził do domu oznaczonego numerem 26 przy ul. Bednarskiej. Przesłuchano, aby to ustalić, niemal wszystkich mieszkańców tej ulicy.

Z równą energią, jak do poszukiwania kogokolwiek, kto widział wchodzących do domu zabójców, przystąpiono do kompletowania listy osób znających tryb życia właścicieli mieszkania. A także zorientowanych, iż są to ludzie dość zamożni. Ale i w tym przypadku zadanie okazało się wyjątkowo trudne. W niektórych zaś przypadkach wręcz niewykonalne. Lekkarz — ginekolog bowiem udzielał porad w w mieszkaniu. Istniała więc możliwość poznania rozkładu mieszkania oraz ustalenia, kiedy gospodarze są w domu, a kiedy opuszczają go, udając się do pracy. Podjęto więc żmudne działania celem ustalenia osób, które takiego sondażu mogły dokonać.

Oczywiście nie ograniczono się tylko do tych czynności. Część inspektorów, korzystając z pomocy terenowych pracowników milicji, mających doskonałe rozeznanie w rejonach powierzonych ich pieczy, przystąpiła do poszukiwania rzeczy zrabowanych z mieszkania przy ul. Bednarskiej.

Ogólnikowy opis skradzionej biżuterii uzyskano od właścicieli. Jednak milicjanci musieli dysponować dokładniejszymi danymi, aby z miejsca orientować się, czy sprzedawana gdzieś pokątne bransoletka lub pierścionek znajdują się na liście poszukiwanych przedmiotów. Jeden z inspektorów Wydziału Kryminalnego KM MO, w oparciu o te ogólnikowe informacje poszkodowanych, wiele godzin studiował encyklopedie specjalistyczne i informatory, nim sporządził kompletny zestaw rysunkowy skradzionych kosztowności.

### POMOC SPOŁECZEŃSTWA

Tak bestialskie zbrodnie, dokonywane na tle rabunkowym, zdarzają się u nas niezwykle rzadko. W większości podłożem zabójstw są niesnaski rodzinne, albo wódka. Niejednokrotnie okoliczności zabójstwa są dość zwalnię i doświadczeni pracownicy łódzkiej milicji muszą włożyć wiele wysiłku zanim sprawca zostanie zdemaskowany i ujęty. Każde przestępstwo przeciwko ludzkiemu życiu budzi szczególną odrazę społeczeństwa. W przypadku zbrodni, popełnionej przy ul. Bednarskiej 26, wyrazem oburzenia na winnych śmierci dwóch starych kobiet towarzyszyło samorzutne zgłaszanie się obywateli do milicji z najprzeróżniejszymi informacjami.

Oto dwa spośród wielu przykładów śpieszenia z pomocą milicji:

Prowadząc aktywne poszukiwania zabójcy, a także kosztowności, jakie stały się jego łupem, ustalono, iż pewien mężczyzna, pracujący jako mistrz w dużym zakładzie, najprawdopodobniej kupił od zabójcy, lub kogoś, kto go wyręczał w sprzedaży łupu, 100-dolarowy banknot. Powszechnie wiadomo, że transakcje walutowe są niedozwolone. W pierwszym odruchu mężczyzna ów zaprzeczył więc jakoby kupował dolary. Miał je wymienienie ukryte poza swym mieszkaniem i mógł żywić nadzieję, iż banknot nie zostanie odnaleziony. Ale gdy powiedziano mu, że sprzedawcą dolarów był najprawdopodobniej sprawca zbrodni, przy ul. Bednarskiej, mistrz ów powiedział:

— Przepraszam, wprowadziłem panów w błąd i przysięgam do tego. Gotów jestem nawet ponieść konsekwencje złożenia fałszywych zeznań. Ale jeśli to ma chociażby w drobnym stopniu przyczynić się do ułatwienia panom poszukiwań, nie mam prawa myśleć o swym interesie. Zaraz dostarczę ten banknot...

I rzeczywiście oddał go, choć wiedział, że ryzykuje pieniędzmi zapłaconymi za tę zrabowaną walutę. Transakcję zawierał na ulicy, sprzedawcy zbytnio się nie przyjrzał i niewiele mógł pomóc w ustaleniu rysopisu zabójcy. Ale wykazał maksimum dobrych chęci i obywatelską postawę.

WALDEMAR UCHMAN

## ZBRODNIA PRZY ULICY BEDNARSKIEJ

### ZEZNANIA MORDERCY

— Po ucieczce z obserwacji unikałem kręcenia się po ulicach, bo wiedziałem, że jestem poszukiwany. Znam dużo kobiet i ukrywałem się u nich, gdyż tam czułem się najbezpieczniej. W dodatku nie tylko dawały mi jeść, ale także umiły mi czas.

Kiedyś spotkałem moją dawną przyjaciółkę, Barbarę M. Do niej nie mogłem iść, bo to mężatka. Ale załatwiła mi mieszkanie u samotnej kobiety zamieszkałej przy ul. Rzgowskiej. Mieszkałem u niej. Tam odwiedzała mnie Barbara. Kiedyś powiedziałam jej, że potrzebuję pieniędzy. Oświadczyła że sama, co prawda, pieniędzy nie ma, ale zna jednego ginekologa na Bednarskiej. Chodziła do niego na zabieg, tak jak i jej siostra i doszła do wniosku, że musi być bogaty. Poszedłem tam na rozeznanie pod pretekstem załatwienia zabiegu dla narzeczonej.

Następnego dnia Barbara zatelefonowała do doktora, żeby sprawdzić, czy mieszkanie jest puste. Ale ktoś był. Przeprowadziłem wywiad, w jakich godzinach doktor i jego żona są w pracy. 20 września sprawdziłem, że rano oboje wyszli i wtedy zadzwoniłem do drzwi. Otworzyła nam starsza kobieta, chyba gospośka. Wpuściła nas. Kiedy byłem w mieszkaniu, uderzyłem tę kobietę w głowę. Aż potoczyła się do kuchni i tam upadła. Tam zadusiłem ją jakimś sznurem i zacząłem szukać schowka z pieniędzmi, a Barbara wyszła przed dom, gdzie czekała na mnie. Pewnie trochę hałasowałem, bo nagle usłyszałem głos kobiety, dobiegający z sypialni, która pytała, co się dzieje. To była stara kobieta, nie broniła się. Kiedy była już martwa, znów zabrałem się do szukania schowka z pieniędzmi. Znalazłem wreszcie szkatułkę ze złotem i walutą.

Mężczyzna mówi do mikrofonu beznamietnym głosem, jakby snuł opowieść o jakichś banalnych wydarzeniach. Na początku przesłuchania wyjął z kieszeni paczkę „Carmenów” i zapytał, czy może zapalić. Pali jednego papierosa za drugim. Trzęsące się ręce, gdy przytyka zapalniczkę, zdradzają zdenerwowanie. Gdy zapalił kolejnego „Carmena”, dokończył:

— Jak zabrałem te kosztowności zaraz wyszedłem na ulicę. Barbara czekała na mnie przy budce telefonicznej. Razem wypiliśmy wódkę z takiej ładnej butelki, którą zabrałem z tego mieszkania. Później Barbara zaprowadziła mnie do swego syna, że-

by mi pomógł sprzedać łupy. Za dolary i ośm tam jeszcze dostałem kilkadziesiąt tysięcy złotych. Postawiłem wódkę. Pilem szklankami i upilem się do nieprzytomności. Barbara wtedy poszła do domu, a ja zanocowałem u jej syna...

— A tej Barbarze dawałście jakieś pieniądze? — zapytał prowadzący wstępne przesłuchanie inspektor z Wydziału Kryminalnego KM MO. Pytał nie bez powodu. Już kilka dni wcześniej zrodziły się podejrzenia, że ta kobieta pomagała zabójcy w sprzedaży zrabowanych kosztowności. Obrzuciła wtedy inspektora obelgami, iż śmie ją podejrzewać o kontakty z przestępcą. A teraz mężczyzna przysięgał się do popełnienia dwu zbrodni, bez żadnych osłonek oskarżał ją o współudział.

— Czy dawałem jej jakieś pieniądze, nie pamiętam, bo byłem wtedy pijany. Ale chyba coś dawałem. Tylko nie wiem, ile...

Gdyby milicja zdecydowanymi działaniami nie doprowadziła bardzo szybko do ujęcia tego osobnika, zapewne nadal korzystałby on z opieki latwociarnych kobiet. W przeszłości miał dwie żony, a aktualnie — jak to określił — narzeczoną. A także wiele przyjaciółek, które darzą go sympatią. Jeszcze nim został zatrzymany, milicja ustaliła, że to on był sprawcą śmierci starej, kalekiej kobiety z ul. Czahary. Kobieta ta prowadziła melinę z wódką. Od znajomego dowiedział się, że na pewno ma ona dużo pieniędzy.

— To było 10 sierpnia rano. Garbka mieszkała sama w małym domku. Jedno uderzenie wystarczyło. Kiedy już leżała, udusiłem ją. Zrobiłem to, bo mi były potrzebne pieniądze — oświadczył. — Ale znalazłem pod poduszką tylko 500 zł i mały zegarek. Po zdobyciu tych pieniędzy poznałem dziewczynę. Mieszkałem u niej do czasu, aż spotkałem Barbarę...

Sprawca tych zbrodni został schwytany dzięki energicznym działaniom łódzkiej milicji. Po zakończeniu śledztwa Andrzej Bietrak odpowiadać będzie nie tylko za te trzy zabójstwa. Na obserwację do szpitala skierowano go na wniosek obrony. Był oskarżony o dokonanie trzech włamań do mieszkań lekarzy. Łup z tych włamań wyniósł około pół miliona złotych. Wytrępli go wówczas i zatrzymali u pewnej kobiety inspektorzy służby kryminalnej z KM MO i KD Śródmieście. Odszykano kosztowności na sumę 150 tys. zł. Miał odpowiadać przed sądem jako recydywista. Przebywając na obserwacji — zbiegł. Co uczynił później — już wiemy.

Oczywiście wiele szczegółów trzeba jeszcze wyjaśnić. Zbadania wymaga także rola kobiet, które udzielały przestępcy schronienia. Gdyby nie ich pomoc, zostałyby ujęte znacznie wcześniej. Są więc, przynajmniej moralnie, winne śmierci trzech kobiet — dwu z ul. Bednarskiej i jednej z ul. Czahary. Ale czy tylko moralnie?

W szczególnie kompromitującym świetle przedstawił Andrzej Bietrak ową Barbarę, która wskazała mu — jak stwierdził — drogę do mieszkania, w którym zabił dwie kobiety. I która bez wątpienia pomagała mu sprzedać kosztowności zagnięte po popełnieniu tej podwójnej zbrodni. Kobieta ta przynależała do pomagającego planującemu kradzież przeprowadzać wywiad, czy ktoś jest w domu. A także do tego, że wykorzystwała swego syna do sprzedawania biżuterii. Po zatrzymaniu Andrzeja Pietraka bardzo szybko dotarło do wszystkich paserów, którzy kupowali od niego pierścionki, bransoletki, medaliony i obce waluty. Dzięki temu odzyskano niemal w całości to wszystko, co zrabował.

Choć pozostały jeszcze do wyjaśnienia pewne okoliczności, nim Andrzej Bietrak i jego ewentualni współnicy staną przed sądem, to jednak już obecnie można stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, iż zdemaskowanie osobnika, który przyznał się do popełnienia tych okrutnych zbrodni, jest dużym osiągnięciem łódzkiej milicji. Przecież w początkowej fazie śledztwa nie dysponowano nawet najdrobniejszą wskazówką, kim może być zbrodniarz. Analizując działania, jakie przesiębrano, można stwierdzić, iż od początku obrano bezbłądnie właściwy kierunek poszukiwań. Mimo iż zabójcy kobiet osłaniała — świadomie czy nieświadomie — cała piejada kobiet. M. in. również z tej przyczyny sprawa znajdzie się niewątpliwie w kronikach kryminalistyk, zaś akta śledztwa będą analizowane jako przykład dobrej roboty łódzkiej służby kryminalnej.

## FILM

# DERSU UZAŁA

Tegoroczny laureat „Oscara” dla najlepszego filmu nieamerykańskiego — „Dersu Uzała” Akiry Kurosawy wchodzi obecnie na nasze ekrany w ramach Dni Filmu Radzieckiego. Na tle dotychczasowej, gwałtownej twórczości Kurosawy najnowszy jego film stanowi pełne zaskoczenie — ekranizacja prozy Arseniewa charakteryzuje się wyrazną, świadomą rezygnacją z dramatyzmu przyrównanego nawet pierwowzorowi literackiemu. Spokojnej, wyciszonej narracji odpowiada nastrojem tematyka filmu; trudno nie zastanawiać w stosunku do „Dersu Uzała” terminu — w trychu, jakim jest niewątpliwie opozycja pomiędzy Naturą a Cywilizacją — w tym akurat wypadku pomiędzy kulturą pierwotną reprezentowaną przez tytułowego bohatera, a odpowiednio umownie traktowaną, stonowaną współczesnością. Jak by wewnątrz tej opozycji umieszczona została historia przyjaźni starego myśliwego z ussuryjskiej tajgi i kapłana oddziału wojskowego, wędrującego po jego łowieckich terenach. Utwór Kurosawy zawiera w sobie jednocześnie filozoficzny wywód; wydarzenia opisywane domagają się w kategoriach dalekich od doświadczeń, stanowią elementy — jawne metafory. Poświadcza to chociażby fakt wydobycia fabuły, wypadków z jakiegokolwiek konkretnej sytuacji historycznej. Istotne jest jedynie zestawienie porządków moralno-społecznych określających się w różny sposób wobec tajgi — Natury. Najważniejszy jest więc tu właśnie ogólny sens, jaki wypracowała Kurosawa ze swojej opowieści, a w konsekwencji postać głównego bohatera. Magiczna wiara Dersu w istnienie duchów tajgi, personifikacja żywych i zabitych zwierząt, przekonanie o nieuchronnej zemście umierającego tygrysa — udowadniają przecież wyraźną intencję stworzenia postaci człowieka Natury. Potrzeby żywiołu Dersu istnieją w doskonałej zgodności ze środowiskiem, zarazem dostosowanie się do warunków życia w tajdze stwarza specyficzną, biologicznie i społecznie uzasadnioną filozofię, system nakazów i zakazów opierający się przede wszystkim na szacunku dla innych mieszkańców tajgi, bez typowych cywilizacyjnych wywyższeń i zachłanności. Charakterystyczna jest tu właśnie naczelna zasada: dążność do maksymalnego zachowania równowagi pomiędzy poszczególnymi elementami środowiska, wśród których człowiek jest tylko jednym z wielu i to wcale nie najważniejszym. Tak właśnie Dersu — ucieleśnieniem pierwotny stan człowieka w Naturze — jest ukazany w filmie w trakcie działań, z jakich każde potwierdza pewien wzorec jak by ocekliwany, zbudowany z elementów już znanych. Dersu objawia się więc wykonując czynności praktyczne, w kontakcie z przyrodą. Czynności te stanowią zarazem formę styczności z przedstawicielem cywilizacji „oświeconej” — kapłanem Arseniewem. Przyjaźń pomiędzy nim a Dersu funkcjonuje w filmie w sposób — o tyle umowny, że przede wszystkim jak by instrumentalny. Zarazem to oczywiste, że przyjaźń sprawdza się tu nie w konflikcie, czy w zestawianiu przekonań, ale w działaniu wobec przeciwności otaczającej Natury. Nie zmienia to jednak faktu iż wzajemny stosunek Dersu i kapłana, nie wychodzi poza konwencjonalny obraz przyjaźni zrodzonej przez żywioła sytuację. Nieco retoryczny szacunek zastępuje próbę zrozumienia wykraczającą poza te, wynikającą z wspólnoty doświadczeń.

W konsekwencji poznajemy Dersu jako reprezentatywnego obywatela tajgi, jednocześnie jako człowieka zostającego zredukowany do takiego właśnie wymiaru, który nie odbiega od znanego stereotypu „dziewka Natury”. Kurosawa wystarcza jednak ten bohater, by sformułować wywód — nagane pod adresem cywilizacji. Staremu, coraz mniej sprawnemu fizycznie Dersu, nie dane jest bowiem zginać zgodnie z naturalnymi prawami tajgi. Zabijając tygrysa podpisał na siebie wyrok. Ale zamieszkałszy w mieście, w domu kapłana, w sposób sztuczny unika naturalnej śmierci. Jednak Dersu wyjęty ze swego środowiska, nie może żyć w innych warunkach. Nowy karabin otrzuty z Arseniewa na pożeganie — funkcjonujący w opowieści na zasadzie złowieszczości produktu cywilizacji — staje się przyczyną śmierci istotnie „cywilizacyjnej”. Dersu ginie bowiem od kul bandyty, któremu spodobała się piękna broń. Nagle wiarogłębienie niszczącej siły w życie starego myśliwego jest też dobudowana jakby sztucznie do wcześniejszego opisu świata Natury. Człowiek Natury ginie w kontakcie z Cywilizacją w gruncie rzeczy bezosobowa; wszystko zadecydowało się przeciw już wcześniej. Wytwór cywilizacji jest nośnikiem siły fatalistycznej, jest produktem praw skierowanych przeciwko naturalnemu porządkowi, w którym istota słaba, a więc także stary człowiek, musi odejść. Pozostaje sprawa „niskotniejsza. Jaka nowa prawda wnosi swoim szlachetnym dydaktyzmem „Dersu Uzała” do dotychczasowego stanu naszej świadomości w poruszanej tematyce? Albo zbanalizowanej: czy można było uniknąć zbanalizowania tematu, mimo badawania zasadniczej opozycji z wartości i symboli czyste umownych i danych, a nie uformowanych i wyrażonych w sposób jedyny w dziele?

PAWEŁ JĘDRZEJSKI

# RZECZY DZIWNE I CIEKAWY

Sporo się wydarzyło w sporcie ostatnich czasów i to zarówno spraw ciekawych, dziwnych, jak i takich sobie, a więc ani ciekawych, ani dziwnych. Ciekawie zaczyna się w kortalach Wojciech Fibak i niewątpliwie będziemy z wielką emocją śledzić jego walkę o to, czy znajdzie się wśród ośmiu najlepszych. Bardzo ciekawym i niezwykle emocjonującym był bój Wisły na belgijskim stadionie, ale bardzo dziwnie zachował się Adam Musiał, któremu pomylili się trochę dyscypliny sportowe i zaczął uprawiać boks zamiast piłki nożnej. Jak to się skończyło, w dzielnym wszystkim. Krakowskiej Wisły — mimo nieszczęśliwego strzału Antoniego Szymonowskiego — należała się gratulacje za bardzo dobrą walkę. Nie udało się tym razem, uda się następnym. Kibice cieszą się jednak faktem, że w naszej lidze pojawiają się coraz częściej drużyny, które pokazują, że potrafią grać w piłkę nożną i to na bardzo dobrym poziomie.

Do rzeczy dziwnych zaliczyłbym też ostatnią zmianę na stanowisku trenera drużyny piłkarskiej Widzewa. Janusz Pekowski objął schemę po Leszku Jezierskim w sytuacji bardzo trudnej, bo po wieloletniej pracy tego ostatniego. Przyszłość mając na swoim koncie dawne sukcesy poznańskiego Lecha. Można było sądzić, że gwarantuje to zespołowi Widzewa równy poziom i utrzymanie się w środkowym rejonie ligowej tabeli. I tak się stało. Ale jest to dla piłkarskiej drużyny Widzewa pozycja z perspektywą raczej na spadek z pierwszej ligi. Tym bardziej że piłkarze LKS zaraz po objęciu trenerstwa przez Leszka Jezierskiego wyszli zupełnie niespodziewanie na prowadzenie w lidze. Nie dziwię się więc, że w tej sytuacji Janusz Pekowski wraca do Poznania, gdzie pewnie potrzebny będzie Lechowi, mającemu na koncie tylko dwa punkty, a do Widzewa przyszedł Paweł Kowalski.

Natomiast do rzeczy takich sobie zaliczyłbym ostatnie występy bokserów. Było to bowiem ani ciekawe, ani dziwne. Przełomnie — można się było tego spodziewać. Wprawdzie trener naszej reprezentacji bokserkiej Michał Szepepan zapowiadał, że we Wrocławiu będziemy rewanż za porażkę w Karl-Marx-Stadt, ale stało się inaczej. To bokserzy NRD potwierdzili tylko poprzedni wynik. I znów było 14:8 dla nich.

Nie przepadam za boksem i jeżeli już oglądam bokserów, to lubię, aby oprócz bicia po mordzie i typowej mlóki widać było też w tym jakiś styl, umiędzięci stosowania taktyki, styl, technikę. Na wrocławskim ringu widziałam u naszych wszystko, tylko nie to. Była normalna przepychanka, jakby był to mecz ligowy, a nie spotkanie między państwami, w którym przecież o coś chodzi, które zostaje w kronikach, a wynik idzie w świat. I wcale mi nie o to chodzi, że inni dowiedzą się jak u nas boks nisko stoi, ale o to, że tych jedynastu gentlemanów, którzy wchodzi na ring, reprezentują sobą to, co się normalnie w tej dyscyplinie dzieje. A dzieje się widać źle. Pierwszym sygnałem tego był pojedynek z młodymi pięściami z USA.

Można mieć dobre wyniki, ale styl, jakim się te wyniki osiąga, koszt, jaki się za to płaci sygnalizują już, że „coś tu nie gra”. Przykładem tego nasza olimpijska jedynastka piłkarska, która zdobyła wprawdzie srebrny medal na Olimpiadzie w Montrealu, ale potem była już tylko cieniem drużyny, która występowała w Monachium. Podobnie nasza reprezentacja bokserów zdobyła wprawdzie pięć medali olimpijskich, ale mimo to sytuacja w polskim pięściarstwie nie była i nie jest najlepsza. Mecz bokserów z młodzieżą z USA był pierwszym sygnałem potwierdzającym to ogólne wrażenie. Czekano jednak na spotkanie z bokserami NRD. Myślano, że może to taki chwyt taktyczny, że bokserzy USA nie należą do światowej czołówki, więc nie przykladano do tego większego znaczenia, żeby nie osłabiać sił na spotkanie we Wrocławiu.

Przed spotkaniem we Wrocławiu był obóz w Celniewie, na który jedni nie przyjechali, bo rozchorowali się, co się zdarza kadłom, a inni spóźnili się. Obóz się nie udał i nasi pięściarze stanęli na ringu tylko z takim przygotowaniem, jakie wynieśli z klubów i wtedy okazało się, że w przeciwnieństwie do przeciwnika, jest to żadne przygotowanie. A na dodatek kilku bokserów — w tym Andrzej Biegalski — pokazało, że w ogóle zapomniało bokswać. Musi się on — niestety — uczyć boksu od nowa. Jego historia przypomina mi trochę dzieje Ryszarda Tomczyka, który też zdobył tytuł mistrza Europy i zaraz potem zawrócił głowy od sukcesu.

Bokserzy NRD przyjechali do Wrocławia prosto z klubów, ale przyjechali dobrze przygotowani. Myślę, że z tego faktu trzeba wyciągnąć odpowiednie wnioski. Jeżeli już koniecznie trzeba dawać się bić publicznie po twarzy, to niech to przynajmniej będzie dobre widowisko i niech patrzacemu nie będzie żal tych biedaków rozstawianych po ringu jak się przeciwnikowi podoba. A najlepiej to się w ogóle nie dać bić.

## BOGDA MADEJ

PS. Z przyjemnością donoszę, że red. J. Górzanska w 41 numerze „Sportowca” odpowiedziała na moją polmiczkę. Ale jak to zwykle bywa w naszych polmiczkach, obie pozostałyśmy przy swoich poglądach.

# POWIEŚĆ W ODCINKACH

(3)

— Nie — kontruje go chłodno Pokiereszowana Twarz — ZEBY WALCZYĆ! — I odchodzi od spikera. Odchodzi w rytmie coraz głośniejszej rumby; obejmuje go ramieniem Splaszony Nos. A spiker, na chwilę traci wątek, rozglądając się bezradnie dookoła, i nagle podejmuje rutynowo: — I to jest właśnie urok sportu, proszę państwa: walczyć, przede wszystkim walczyć... — Rumba zagłusza dalsze jego zawodowo radosne, podrasowane tokowanie.

A w warszawskiej, pustej, narożnej kawiarni Anna tańczy z chłopakiem w kraciatej marynarce. Mrok za oknami, taper kiwa się sennie za fortepianem — perełki nostalgicznej melodii dzwonią jak jesienny deszcz o szyby, co nie jest wcale wydumaną, literacką metaforą, do cholery! Właśnie tak dzwoni! Anna tańcząc z chłopakiem na przyzwyczajoną odległość, ciągnie swój beznamiętny, szemrzący monolog: — Jest głodny. Ciągłe jest głodny. Na tydzień przed każdą walką zaczyna post: szklanka wody z miodem i cytryną na cały dzień, a i tak musi jeszcze chodzić do łaźni, żeby wypocić dodatkowe kilogramy. A po walce rozpoczyna z miejsca wielkie żarcie. Śniadanie, obiad, podwieczorek, kolacja. Później cały półmisek kanapek na noc mu robię: masło, plaster sera, szynki, pomidora i chrzan na każdą kromkę ukosnie skrojonej angielski, i nie uwierzysz, wina je nawet przez sen, nie otwierając oczu...

Przytula się nagle w tańcu do chłopaka. Przytula się tak, jak szukająca pociechy córka przytula się nagle do ojca. I chłopak przez chwilę jest tym ojcem, a ona tą córką, a po chwili on jest już tylko młodym, szpanowanym mężczyzną, a ona młodą, podrajkowaną kobietą, więc odrywa się od niego.

Wraca do stolika. Sięga rozdygotanymi palcami po Carmeny i nagle, widząc że paczka jest pusta, mnie ją w dłoni. Chłopak podsuwa jej Pall Malle. Anna przeczy głową. Mówi:

— Tylko carmeny.

— Już mówi chłopak. — Rusza w stronę bufetu, ginie za węgiel. Szaninierz z barmanką pochyleni nad tranzystorem, słuchają sprawozdania z zawodów pływackich. Podrasowany głos spikera jazgotuje w transie. Barmanka niechętnie i niespiesznie unosi zadek ze stolika.

— Nie ma Carmenów — mówi.

— A co jest?

— Gouluoisy, Lucky Strucky. Caro...

— Pani da Caro — decyduje się chłopak.

— Placi. Wraca do stolika.

Przez moment ma jeszcze nadzieję, że Anna poszła do toalety. Potem nie ma już tej nadziei, bo widzi obok dwóch nie dopitych szklanek kawy i dwóch dopitych kieliszków koniaku dwa czerwone sztuczowe banknoty.

Wybiega na ulicę. W gęstniejący mrok. Taper gra nostalgiczną melodię, a chłopak rozgląda się we wszystkie strony. Reka czyjaś spada mu na ramię. Odwraca się. Playboy.

— Tam! — palec Playboya celuje w czołuszek ulicy.

Chłopak strząsa rękę Playboya. Biegnie.

Anna idzie powoli, z oczami wbitymi w płyty chodnika. Ożywiony, pracy ochoczo do domów tłum potraça ją co parę kroków. SZEWIŃSKA—KIDAS—GRUDZIEN; KIDAS—GRUDZIEN—SZEWIŃSKA! Przystaje pod kinem ŚLASK. Ogląda fotosy. Patrzy na zegarek. Decyduje się nagle.

Kiedy wchodzi do opustoszałej sali, wyświetlają akurat kronikę. Najpierw jakiś PGR, duży zakład przemysłowy, pochylona nad krosnami prządka, potem, oczywiście — reportaż z otwarcia olimpiady. Idą poszczególne ekipy w porządku alfabetycznym. Idzie POLSKA. Widzi na ekranie POKIERESZOWANĄ TWARZ. Słyszysz komentarz: CI, NA KTÓRYCH LICZYMY.

Chłopak w kraciatej marynarce wyciąga z kieszeni upstrzone nerwowym, nieczytelnym pismem karteluszki. Zerkając na zegarek, notuje: 20.15. I wchodzi do sali kinowej w momencie, kiedy na ekranie rozwija się już akcja łzawego francuskiego romansidła. Przeczyszcza wzrokiem rząd za rządem, przyzwyczajając oczy do

ciemności. I poznaje Annę. Ale nie podchodzi. Siada z tyłu, na uboczu. Raz na ekran patrzy, raz na nią. Na ekranie akt: dwa splecione ciała; szeroko rozwarte usta kobiety i zacigła, gruzłowata twarz mężczyzny... Potem tempo siada: dialogi o życiu, monologi o miłości, wschody słońca, zachody, spacer. I znowu akt. Chłopak wlepia spojrzenie w ekran i nie widzi, że Anna podąża do wyjścia. Wkrótce jednak odkrywa jej nieobecność i też przebiega do wyjścia. Oddycha z ulgą widząc ją w perspektywie ulicy. Potem klnie, gdyż Anna, unosząc do góry rękę, zatrzymuje taksówkę. Dwieście metrów

głe na niebieskim neonie: POCZTA—TELEGRAF—TELEFON. Rusza w stronę tego neonu z dojrzwającą decyzją na twarzy.

Anna wchodzi do swojego mieszkania i pierwsze, co słyszy, to natrętny dzwonek telefonu. Podnosi słuchawkę:

— Tak?

— Anuśka? — zaczyna jakiś sympatyczny, kobiecy głos po drugiej stronie przewodu.

Na poczcie chłopak w kraciatej marynarce wertuje spis telefonów. Bezskutecznie przegląda zasadniczą część: ABONENCI MIESZKANIOWI. Znie-

waną podłogę. Wali tak, że okrucy rozpryskują się po całym pokoju. Narzędzie ma co sprzątać. Ale nie sprząta. Wyciąga z torebki pięćdziesięciogramową buteleczkę koniaku HENNESSY i nie szukając kieliszka, wypija, wstrząsając się w tym samym momencie, bo ktoś dzwoni do drzwi.

Z uśmiechem idzie otworzyć, ale nie spodziewała się chyba tej niemłodej już, ubranej w granatową, wizytową suknię niewiasty...

— Co mamę sprowadza? — mówi Anna zakłopotanym tonem.

Pomyślałam sobie, że skoro Waldus już śpi, to przyjdę obejrzyć z tobą walkę — odpowiada równie zakłopotanym tonem niewiasta. — Dzwoniłam, ale nie było cię ani w biurze, ani w domu...

— Wylączyłam telefon — tłumaczy Anna. I zamiast przywitać się z niewiastą, wraca do pokoju. Szybkim ruchem zgarnia pustą butelkę HENNESSY ze stołu, wsiska ją za dekolot, idzie do łazienki, otwiera szafkę ścienną, wrzuca tam buteleczkę i, jednocześnie, sięga po EOL w sprayu, który ma to do siebie, że niweczy zapach alkoholu. Raz i drugi strzyka sobie w usta, a później, uśmiechnięta, podchodzi do siedzącej w fotelu przed telewizorem niewiasty i serdecznie całuje ją w czoło.

— Co się stało? — pyta niewiasta, patrząc na migotającą okrucami kryształ podłogę. — Upuściłaś?

— Nie. Rozwaliłam na szczęście!

Niewiasta nie wydaje się zachwycona. Chce chyba nawet dać temu wyraz, ale czuje łagodny przeciąg na plecach. Odwraca się i poprzecz wąską korytarz, w drzwiach wejściowych, które nie zostały zamknięte, dostrzega sylwetkę chłopaka w kraciatej marynarce.

Przez chwilę chłopak jest trochę speszony, zaś obie kobiety trochę przestraszone. Widać — nikt z trojga nie przewidział takiej sytuacji, tym bardziej że chłopak ścisną w rękę bukiet kwiatów róż. Pan reżyser wygrywa teraz tę szczególną atmosferkę, tę brzemienne, przeciągającą się ciszę, w której cała trójka przetrzuca się spojrzem, a w oczach niewiasty dojrzała nieufność, zgroza, potępienie, wszystko, co łączy chwila ma wybuchnąć, ale nie wybuch, gdyż chłopak robi nagle parę kroków do przodu i wręcza kwiaty starszej kobiecie, mówiąc:

— Bardzo przepraszam, jestem reporterem „Polityki”... — Błyska legitymacją, co wyraźnie uspokaja niewiastę.

— Pewnie przychodzę nie w porę, ale, mój Boże, to jest prawo mojego zawodu, chcę przeżyć z paniami tę wielką, najważniejszą walkę i opisać ją później od tej innej, rodzinnej, pozasportowej strony...

Rumba w egzotycznym mieście dzwoni teraz głośniejsz niż kiedykolwiek dotąd: marakasy, kastaniety, czyniele. Niewielka sala treningowa: na ścianach drabinki gimnastyczne, z sufitu zwisają worki treningowe i gruszki, na prowizorycznym ringu Pokiereszowana Twarz sparuje ze Splaszonym Nosem. Krótka wymiana ciosów, syk wciąganego przez nos powietrza.

— Starczy! — mówi Splaszony Nos. Okrywa Pokiereszowaną Twarz szlafrokiem. Podaje mu butelkę płynu. Teraz połóżysz się na godzinę. Dobrze, dobrze! Wiem, że nie zaśniesz, ale Maniś wyklepie ci mięśnie, a ja opowiem ci bajeczkę o czarnym papierowym tygrysku.

Mieszkanie Anny. Niewiasta, zaciśnięta na kolanach chude, drżące, żyłaste ręce, zwraca się cichym, wzruszonym głosem siedzącemu obok chłopakowi:

— Żeby tylko nie przegrał, panie reaktorze! Żeby pan wiedział, jak on później się gryzie. Nie śpi po nocach, дума, rozmyśla. Ja, matka, wiem to najlepiej. Srebro? Ludzie zobaczą, przeczytają, w tydzień zapomną, ot, co za różnica: złoto czy srebro po tygodniu. Dla mnie też nie ma różnicy, lecz on nie potrafi zapomnieć, tak jak nie potrafi zapomnieć kłęski z Rzymu, a ja nie chcę, żeby mój syn... Jezu Chryste, ten Murzyn jest taki ogromny...

(c.d.n.)

# dłonie i pięści



Rys. J. Szymański — Glanc

dział go od tej taksówki, więc nie próbuje nawet biec. Potem przeklina swoją opieszalność, bo Anna wyskakuje na moment z taksówki, żeby kupić w kiosku papierosy. Chłopak zrywa się jak działyby nożem, jest już blisko, ale taksówka rusza nagle ostrym szturtem sprzed kiosku...

Anna otwiera paczkę Carmenów. Taksówkarz wywiesił wprawdzie tabliczkę, że palić nie wolno, ale pięknym dziewczynom wszystko wolno. Pali więc Anna, pali kierowca, radio nadaje skrót wydarzeń olimpijskich z ostatniego dnia. Sztuczny, zawodowo optymistyczny, podrasowany głos spikera nawija i nawija, kierowca zerka na kobietę zezem: raz na piersi, raz na kształtne, krągłe kolana.

— Ostatni kurs robię — powiada.

— Potem kima i boks.

— Lubi pan boks? — zapytuje Anna.

— Mowa. Sam żem kiedyś chodził w półciężkiej. A pani?

— W muszej chodziłam — śmieje się Anna.

— Ha, ha! Mnie idzie o to, czy pani lubi. Bo wie pani, nie wszyscy lubią...

Chłopak w kraciatej marynarce tkwi niezdecydowanie na skraju chodnika. Jego wzrok zatrzymuje się na

chęczone — zamyka książkę. Potem otwiera ją znowu... studuje ZMIANY W CZASIE DRUKU — PRZYBYLI, i jego twarz rozpogadza się nagle. Notuje na kartce sześciocyfrowy numer. Podchodzi do automatu. Kręci.

Anna ściera kurz z regałów, na których nie ma kurzu, wygląda na stole obrus, który nie potrzebuje żadnych wygładzeń. Pali, rzecza jasna! pali, rozglądając się po lśniącem czystością mieszkaniu w poszukiwaniu jakiegoś zdjęcia.

Brzęk telefonu.

Podnosi słuchawkę i przerywa drugą ręką połączenie. Wyciąga sznur z konaktu.

Chłopak usłyszał to puknięcie w wieleki. Jest przegrany. Próbuje wprawdzie dzwonić jeszcze raz... potem rusza do wyjścia, żeby po chwili wrócić i ponownie sięgnąć po spis telefonów. Uśmiechając się, notuje: JERZY KIDAS, ZEROMSKIEGO 28b. Wybiega na ulicę, kierując się w stronę postoj taksówek.

Anna siedzi w pluszowym fotelu: w jednej ręce szklanka kawy, w drugiej papieros. Wstaje nagle i zaczyna krzątać po mieszkaniu. Wzrok jej zatrzymuje się raptem na kryształowym wazonie, który został wspomniany w pierwszej sekwencji. Podchodzi, bierze ten wazon i oburącz, z całej siły, z wściekłością, wali nim o wyfrotero-



WACŁAW PAWLAK

## ROZMÓWKI PRZY PÓŁ CZARNEJ



Fot. Archiwum

Lokal Roszkowskiego w porze południowej odwiedzali przeważnie goście ze środowiska inteligencji: lekarze, prawnicy, dziennikarze, aktorzy. Jedni śpiesznie wypijali tradycyjne „pół czarnej” i wracali do swoich codziennych zajęć, inni zaś, mający nieco wolnego czasu, okupowali na dłużej pomieszczenia kawiarni.

Tego dnia przestronna sala „pod zegarem” szumiła gwarem ożywionych rozmów. Prostokątny stół, zwany adwokackim, obsiedli gęsto mężczyźni w różnym wieku i rozmaitej profesji. — Byłem wczoraj w iluzjonie — zwrócił się adwokat Włodzimierz Wyganowski do wydawcy „Rozwoju” Wiktora Czajewskiego.

— Powiadaj, panu, coś nadzwyczajnego!

Iluzjon? — skrzywił się Czajewski. — Cudactwo w rodzaju kosmoramy czy fotoplastikonu, z tą tylko różnicą, że dzięki stosowaniu sztuczek technicznych postacie na obrazach się poruszają. Byłem w takim iluzjonie już przed paru laty, bodaj że w 1899 roku. Wówczas to jarmarczne widowisko nazywano „żywym fotografiami”.

Wyganowski strząsnął popiół z cygara do cynowej popielniczki.

— Od tego czasu sporo się zmieniło — przekonywał swego rozmówcę. — Technika filmowa poczyniła znaczne postępy, „żywych fotografii” nie można przyrównywać do iluzjonu, nazywanego coraz częściej kinematografem.

Gdyby nie drganie obrazów i migotanie światła, można by go zaliczyć do jednego z największych wynalazków naszej epoki.

— A gdzież to mieć się ten, jakże mu tam... kinematograf?

— Na Piotrkowskiej pod siedemnastym w podwórzu. Jest to raczej szopa, w której z trudem mieści się około 50 osób. Iluzjon ten nazywają „Belle-vue”. Dają w nim teraz film francuski według powieści Juliusza Verne pod tytułem „Podróż na księżyc”. Cieszy się on ogromnym powodzeniem, o czym świadczą długa kolejka pod kasą kinematografu.

— Aż tylu jest amatorów wyprawy na księżyc? — rozemniał się dyrektor Towarzystwa Kredytowego Leon Gajewicz. — A może jednak Wiktorze dasz się namówić na tę podróż?

— Tym bardziej że nie jest zbyt kosztowna, tylko 20 kopiejek od osoby — zachęcał adwokat Czajewskiego. — W „Rozwoju” można by dać wzmiankę o redaktorze: „Wydawca naszego piśmie, Wiktor Czajewski, udał się w dłuższą podróż na księżyc. Po jego powrocie wydrukujemy cykl reportaży z srebrnego globu”. Czajewski uśmiechał się pod sumiastym wąsem.

— Wolne żarty, mecenasie. Wiedzieć jednak panowie, że wybiorę się do iluzjonu. A może przyjdzie czas, że i na księżyc...

— Pozdrów ode mnie mistrza Twardowskiego — żartował Gajewicz.

Do rozmowy wtrącił się milczący dotąd Stanisław Bartkiewicz.

— Są to mrzonki, moi panowie. Człowiek nigdy nie znajdzie się na księżycu, gdyż organizm ludzki nie jest przystosowany do warunków istniejących na srebrnym globie.

— Być może, doktorze, chociaż nigdy nie wiadomo — odezwał się felietonista „Rozwoju” Stanisław Lapiński. — Wiedza ludzka czyni tak ogromne postępy, że może upora się kiedyś i z tym problemem.

— Baj, baj! — Bartkiewicz uczynił lekceważący ruch ręką.

— Wiedza człowieka bez wątpienia poszła daleko naprzód — zgodził się z wywodami Lapińskiego adwokat Wyganowski. — Zwłaszcza w zakresie techniki. Wiek dziewiętnasty dał nam ta-

kie jej zdobycze jak koleje parowa, telefon, tramwaj elektryczny, wreszcie automobil.

— Przypomniał mi się dzień, w którym ruszył w Łodzi pierwszy tramwaj — wspomnieli Lapiński. — Dla przeciętnego kędzianina podróż wehikułem pędzącym z szybkością większą od dorożki, a przy tym obywatelom się bez zaprzęgu konnego, była wtedy nie lada atrakcją, toteż o miejsce w wagonie staczano dosłownie boje.

— Dzisiaj również nie jest lepiej — wtrącił Gajewicz. — Tramwaje na przestrzeni od Paradyżu do Helenowa przepelnione bywają pasażerami, którzy na każdej stacji wokuja o miejsce wobec niezwykle tłoku jadących.

— O tramwajach można by mówić bez końca — odezwał się Wyganowski. — Opowiem wam takie zdarzenie. Przy zbiegu Cegielnianej i Piotrkowskiej zebrała się gromadka ludzi, oczekując na tramwaj oznaczony kolorem białym i niebieskim, z napisem Wodny Rynek. Wreszcie nadszedł. Siadają więc. Konduktor najmniejszego nie czyni im wstrętu i najspokojniej w zamian za dziesiątki obdziela ich biletami. Jadą zadowoleni z szybkiej jazdy, alści przy Nawrot tramwaj staje i konduktor każe wysiadać.

— Ależ panie, my jedliśmy na Wodny Rynek, a to jeszcze smart drogi — protestują pasażerowie.

— Dalej nie można. Woda szynny popsuła.

— Więc zwróć nam pan pieniądze.

— Co to — to nie.

— Jak to? — odzywa się jakiś jegomość, widocznie obeznany z prawem. — Przepisy wyraźnie mówią, że jeśli furman nie dowiedzie pasażera do miejscy przeznaczenia, winien zwrócić mu pobraną z góry zapłatę.

— Co mi pan zawracasz głowę furmanem — obruszył się konduktor. — Upominaj się pan u zarządu, mnie nie wolno zwrócić pieniędzy za bilety wydarte z książeczki.

Dr Bartkiewicz, uważnie przysłuchujący się opowiadaniu Wyganowskiego, uczynił konkluzję.

— Tak to jest, mecenasie, z tramwajami. Wydaje mi się, że nie wytrzymają konkurencji dorożek, bez których trudno się

jednak obyć. Cóż mi za pożytek z tramwaju, kiedy nie mogę dojechać nim tam, dokąd potrzebuję. Chociażby do pacjenta zamieszkałego na Chojnach czy na Widzewie. Co innego dorożka — ta wszędzie dotrze.

— Przysiadłby się konsyliarzowi automobil — napomknął Czajewski. — Zawsze to lepszy pojazd od dorożki...

— Automobil?! Uchowaj mnie Boże od takiego wehikułu! — rozeźlił się doktor. — Wydzielający się odór benzyny jest bardzo szkodliwy dla zdrowia. Do tego zaś pojazdy te psują się bardzo często. Chociażby wczoraj! Wskutek zepsucia się automobilu przed domem Peterskiego tramwaje były chwilowo wstrzymane, gdyż niefortunny majstrów nie potrafili naprawić uszkodzonej maszyny.

— Podobny wypadek widziałem w zeszłym miesiącu — wtrącił Lapiński. — Jeden z przemysłowców łódzkich sprowadził sobie automobil z Berlina i naraził się tym na duże przykrości. Mianowicie pojazd zepsuł się na Piotrkowskiej i nawet czterech mechaników nie mogło dać sobie rady z silnikiem. Gapię zaś omyślnie poddać druzgocącej krytyce niemiecką robotę. Co gorsza, dorożkarze jak gdyby się zmówili. Co który przejeżdżał, wtrącał z kózki swoje trzy grosze w formie rady na temat podsypywania owsa. Było to jedyne w swoim rodzaju widowisko. Ludzie tarzali się ze śmiechu, a młody Niemiec szalał z wściekłości. Zahamowany wtedy ruch na połowie Piotrkowskiej.

— Robienie prób z automobilami byłoby właściwsze gdzieś na bocznych ulicach, mało ruchliwych, ażeby nie hamować prawidłowego ruchu w śródmieściu — zauważył Wyganowski.

— Zgodzić się więc, przyjaciele, że dorożka ciągle jest niezastąpionym pojazdem w komunikacji miejskiej — stwierdził z zadowoleniem dr Bartkiewicz. Dopil kawy, wyciągnął z kieszeni kamizelki srebrną „cebulę”, otworzył wieczko czasomierza i porównał swój czas z czasem na zegarze, wiszącym nad wejściem do sali. — Albo mój się późni, albo Roszkowskiego się śpieszy, mruknął. — Tak czy tak, na mnie czas. Franciszek na pewno już czeka przed kuciernią.

— Któż to taki, ten Franciszek? — zaciekał się Czajewski.

— Mój dorożkarz! — Zawarłem z nim umowę, że za ustaloną opłatą będzie przyjeżdżał po mnie w uprzednio oznaczone miejsce i o określonej godzinie. — Doktor rzucił przyjaciółm triumfujące spojrzenie i podpierając się laską ruszył z wolna ku wyjściu.

### CHARAKTER SMAKOSZA

## MAŁE KINO

„Najlepsze to małe kina”.

K. I. G.

### KONKURSOWE PŁONY

Konkurs na scenariusz wspólny, ogłoszony przez zespół Filmowy „Świt” zakończył się sympatycznie. Pierwsze miejsce zajęła praca napisana na maszynie. Akcja uagrodzonego scenariusza toczy się w XXI wieku. Bohater, zasłużony reżyser wzmocniony szklanym włókniem, wspomina z rozczuleniem drugą połowę wieku dwudziestego udowodnił, że w przyszłości dożyje starym, by dźwięki kołki ławki przesyłać a i schylać się było znacznie łatwiej.

### MIEŁE PRZEPROSINY

Twórcy filmu pt. „Nasza szkap” przepaszają widzów za nieuzasadnione odgłosy łkania, towarzyszącego pojawieniu się na ekranie tytułowej bohaterki, to jest naszej szkap. Równocześnie twórcy filmu pt. „Sieroca dola” proszą o wybaczenie cichego rzęnięcia i parkania towarzyszącego sierociej doli. Twórcy przyrzekają, iż w przyszłości dożyje starym, by dźwięki kołki ławki przesyłać a i schylać się było znacznie łatwiej.

### PRAWIDŁOWOŚĆ SPOŁECZNA

W Las Vegas stanęło nagle w płomieniach modne kino „Capitol”. Jak opowiadają naoczni świadkowie: szybko schował się do dziurki. Rozgorczył pan Jerzy T. położył na kanapie ostatek szynki, gdyż nie lubi agitacji z sera.

### SEKS I PROCH

Słynna gwiazda zachodnia Gamma Ray postanowiła osobiście zbadać wpływ seksu na kanonierów. W tym celu ubrana jedynie w starą płaszcz ortolionowy, przeszła wolno tuż przed strzałą doszło ze znacznym obniżeniem. Grupa żonatych ocyfistów sądzi, że w urzędku wojny novejnej działalność Gammay Ray bez ortolionu może przynieść wiele dobrego.

ANDRZEJ  
CZEKAŁSKI

# Prawie — że żywa rzecz

Obywatel N., z natury i zawodu humanista, dokonał niezbędnego w obecnych czasach zakupu. Kupił telewizor marki „Lazuryt”. Radość w jego domu była ogromna. Lecz długo nie trwała. „Lazuryt” zaczął stękać, sam się wylatywał, by po jakimś czasie znowu emitować programy TV. Odpoczywał zapewne... Najpierw po dziesięć minut, potem po piętnaście, dwadzieścia, a kiedy potrzebny był mu już nawet trzydziestominutowy odpoczynek, rozgniewał obywatela N. Tenże bowiem uderzył w niema skrzynkę. Żona zabroniła mu robić tak kiedykolwiek przy dzieciach, bo dlaczego rzecz martwą traktuje jak coś żywego, co celowo psuje mu nerwy? Jest przecież humanista.

Aparat musiał to uderzenie odczuć, choć było lekkie. Musiało ono jednak podziałać na jego uczucia. Bo chociaż po jakimś czasie włączył się z powrotem na parę minut, to zrobił to specjalnie po to, żeby na oczach wszystkich domowników, a szczególnie na oczach humanisty N., wyłączyć się samostnie i zamilknąć zupełnie. Nie pomogły błagania. Czekało pół godziny, godzinę, aż minął czas tygodniowej emisji.

— A tak się cieszyłem, że narzeczcie obejrzą „Opole” z własnego telewizora — powiedział smętnie zawiedziona żona humanisty, który zacisnął tylko pleści, ale zdolał się opanować i rzekł jej w odpowiedzi, że czas już najwyższy, by położyli się spać. Na szczęście w tym roku „Opole” nie było najlepsze. No cóż, był to 13 Festiwal, a trzy-nastka zawsze jest feralna.

Humanista N. zatelefonował do zakładu, w którym pracują fachowcy od złośliwych telewizorów. Przyjechali, zabrali i po

jakimś czasie naprawili. Czy na pewno? Nie poznali się chyba na złośliwości tego akurat „Lazurytu”. W każdym razie zaprosili humanistę N., aby odebrał aparat i stwierdził jego sprawność. W tym miejscu N. się rozsierdził.

— Jestem humanistą — powiedział — i jak mogę ja stwierdzić sprawność tego tak bardzo skomplikowanego pudła?!

„Lazuryt” wykazał przy tych słowach maksymalną cierpliwość. Pograł trochę w zakładzie, zaprezentował nawet bardzo dobry odbiór, na co jeden z tutejszych specjalistów zapytał humanistę:

— Gra?

— Gra — przyznał N.

— No to bierz pan go sobie. Co prawda było już po „Opolu”, ale i tak żona była rada, że jest już w domu sprawny telewizor. Szczególnie ucieszyli się dzieci. Bo teraz, latem, co soboty znów są Przygody Bolka i Lolka. Bolka i Lolka na wakacjach. A dlaczego dzieci humanisty siedzą w rozgranym miesie? Nie nasza to już sprawa.

„Lazuryt”, ledwo zjawił się na swoim miejscu w mieszkaniu humanisty, wyłączył się samostnie już po dziesięciu minutach. N. wstrzymał nerwy. Nie uderzył, choć miał na to ochotę. Powiedział tylko do aparatu:

— Uch ty, cholerna złośliwa bestio, ty techniczny skandalu!

Znowu przyjechali fachowcy, znowu zabrali złośliwca, zeprowali i albo zlikwidowali jego złośliwość, albo też sam „Lazuryt” przyzwyczylał się już do domowego ogniska humanisty N., bo od tej pory odbiera bez przeszkód. Chyba że w odbiorze programów przeszkadzają usterek, którym winne są łącza.

Historia skończyła się więc

dobrze. Tylko po dwóch naprawach, a są ponoć bardziej jeszcze złośliwe „Lazuryty”. Historii tej jednak nie można zakończyć bez moralu. Mimo iż w tym roku mieliśmy możliwość obejrzenia wielce udanego Festiwalu Piosenek i Żołnierskiej w Kołobrzegu, który szczególnie humaniście N. przypadł do serca.

Otóż — można być humanistą, lecz trzeba mieć również cierpliwość do rzeczy martwych — szczególnie wtedy, gdy są one jeszcze na gwarancji.

A swoją drogą?..., czy naprawdę nawet humaniści muszą się znać na działaniu skomplikowanych telewizorów? Czy naprawdę oni (i nie tylko oni) powinni stwierdzać ich sprawność przy odbiorze z zakładów naprawczych? Bo moim zdaniem, które zresztą potwierdza zdanie humanisty N., fachowcy w zakładzie naprawczym powinni być pewni tego, co naprawili bardziej, niżli ktokolwiek inny. Na tym więc kończę tę tak codzienną opowieść wziętą z powszedniości. Na szczęście sam nie mam „Lazurytu”. Mój stary, mały „Neptun” od roku już milczy.

Lecz jeszcze małe p.s:

Humanista N. pisze właśnie pracę doktorską na temat, którego bliżej nie znam, lecz wiedząc, że ma ona jakiś związek z rolą Telewizji w wychowaniu, będzie tam na pewno wiele narzekania na złośliwość martwych, a jednak prawie że żywych rzeczy.

WIKTOR M.

Niejednej głowie przydałaby się pielęgnacja nóg!

W pewnym kraju właściciel zakładu ortopedycznego skonstruował protezę — uśmiech. Odtąd nie ma tam ludzi smutnych.

Są ludzie, których nie skruszą najtwardsze skały!

Mężczyźni są jak dzieci — tylko kobiety wyrastają z dzieciństwa.

MIECZYSLAW  
MICHAŁ  
SZARGAN

## UKWIAŁY

Noe nie jest sprzymierzeńcem nadziei, dlatego chyba powstało: docekać światu.

Znam takiego: nim znacznie myśleć, układa móż w ciup.

Gdyby chorągiewki wiedziały skąd wiatr zawieje?

W ostatniej sekundzie zauważyłem, że się w sobie gryzę zębami moich wrogów!

I debile mają swoich geniuszów!

Ciągle udajemy, że nie wiemy o co chodzi, a chodzi o to, że ciągle udajemy.



Fot. Archiwum